W NUMERZE: Poszukiwacze wrażeń ■ Cały etat ■ Sztuka jest pytaniem ■ Poza schematem ■ Korespondencja zza granicy ■ Metody i wyniki ■ Felietony

tygodnik społeczno-kulturalny
Łódź odgłosy
NR 32 (1183) ROK XXIII 10 SIERPNIA 1980 R. CENA 3 ZŁ

# Podzwonne dla Smętka

MAŁGORZATA GOLICKA

We wtorek zadepeszowali z Olsztyna: „Czekamy w sobotę rano. Płyniemy Łyną. Przyjedź"

str. 10

WIESŁAW MACHEJKO

# ROWY I ROWKI

str. 10.

tylko dla mało wrażliwych

TOMASZ SOLDENHOFF

## Tego roku w Karlowych Warach

**Korespondencja z CSRS**

Karlowe Wary — 50-tysięczne miasteczko w zachodnich Czechach, założone przez cesarza Karola IV w malowniczej dolinie rzeki Tepla, znanej z gorących alkaliczno-słonych źródeł. Uzdrowiskowa kariera tego zakątka zaczęła się wcześnie. Od kilku wieków przybywają tu goście z całej Europy, a wśród najsłynniejszych byli car Piotr Wielki, Bach, Schiller, Goethe, Beethoven, Mickiewicz, Chopin i Marks, o którym właśnie tutaj swój ostatni reportaż napisał Egon Erwin Kisch. Upamiętnia ten fakt tablica pamiątkowa, podobnie jak wystawiony w 1897 r. pomnik — wizytę Mickiewicza, a pobyt Chopina — schronisko jego imienia.

**Dalszy ciąg na str. 11**

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## GROSZ ZA DWIEŚCIE

Jest to opowieść o ostatnim łódzkim targowisku, które akurat tyle ma wspólnego z Łodzią, co chiński żołnierz z córką polskiego klarnecisty, aczkolwiek świat zna i takie koneksje. — Jedź i zobacz! Konie srają pod siebie w pełnym skupieniu milczeniu, chłop kiwa się na koźle, pijany od rana, a obok playboy z Piotrkowskiej sprzedaje kożuchy, tu gołębiarz z Brzezin, tam panienka z Grandu, tu rower z sieczką w szprychach, tam mercedes na warszawskiej rejestracji — Polanie, Cyganie, raki, ćpaki nitki, pitki, widelce, kłaki, no i gwoździe, bardzo dużo gwoździ, złote rybki, plankton — proszę uprzejmie! Dychawiczna harmonia, na której rzępoli sennie dziadunio z Koluszek, płyty, adaptery, magnetofony, radia, obok których tręci się złota młodzież - ten przystojniak o wejrzeniu magistra filozofii usiłuje spuścić swój ogromny japoński tranzystor, a reklama odbywa się bez słów: — Patrzta ino ciemniaki. Wciskam pierwszy klawisz, gra muzyka, wciskam drugi i już po was idzie prąd — Wolna Europa! Głośno, wyraźnie, z tak zwaną troską o sprawy rodaków...

**Dalszy ciąg na str. 8**

*Foto: R. Łucyszyn*

## CHCĘ, BY TRAKTOWANO MNIE POWAŻNIE

Rozmowa z MARIANEM SŁOBIŃSKIM

**— Wygląda pan bardzo młodo.**

— Mam 25 lat.

**— Czy praca w tego typu placówce wymaga specjalnego przygotowania?**

— Bo ja wiem? Ukończyłem Zasadniczą Szkołę Handlową, potem Liceum Ekonomiczne...

**— Przecież liceum nie uczy obchodzenia się ze sprzętem radiowo-telewizyjnym...**

— To prawda, ale to nie takie straszne. Wystarczy posiadać w tym kierunku zainteresowania, przez jakiś czas podpatrywać jak obchodzą się ze sprzętem ci z doświadczeniem i wiedzą, samemu poczytać sporo literatury fachowej... U mnie w sklepie nikt nie ma specjalistycznego przygotowania, niektórzy są po ZSH inni po LE. Wystarczy mieć dobre wykształcenie handlowe, gdyż my nie naprawiamy sprzętu radiowo-telewizyjnego lecz jedynie go sprzedajemy.

**— Oferując sprzedaż radia czy telewizora musi pan klientowi udzielić pełnej informacji o tym, co klient chce kupić...**

**Dalszy ciąg na str. 8, 9**

# KONRAD SIWECKI (1917–1980)

Żył w cieniu, rzadko trafiał na łamy gazet, zadowalając się sukcesami innych, którym pomógł dojść do rozgłosu. Był bowiem jednym z tych nielicznych ludzi filmu, którzy chętniej spędzają długie godziny w montażowni, przy migotliwych obrazkach przesuwającej się taśmy filmowej, niż na uroczystych pokazach, festiwalach i bankietach. Wielu nie potrafiło się bez niego obejść. Miał świadczenie, zgromadzone w ciągu długich lat pracy strawionych na zmaganiu się z tworzywem, ale także intuicję, która we wszystkich poczynaniach artystycznych uskrzydla doświadczenie. I szafował nimi szczodrze, nie oczekując wdzięczności ani zapłaty. Wiedziano o tym i wykorzystywano tę jego słabość ponad miarę, bo lubił czuć się potrzebny, a często był po prostu niezastąpiony.

Był kimś, postacią, indywidualnością, zarówno w pracy jak i prywatnie, o czym wiedzieli już tylko ci, którzy potrafili się do niego zbliżyć. Opowiadano o nim anegdoty, które mile łechtały jego poczucie humoru, bo dobry dowcip cenił wysoko i sam rewanżował się natychmiast opowieściami do śmiechu obserwując reakcję słuchaczy. Nikt nie poznałby w nim wówczas wielkiego samotnika, którym był naprawdę.

Samotnik i samouk, jak niemal wszyscy pionierzy naszej kinematografii, rówieśnik Rewolucji Październikowej. Przyszedł na świat w rodzinie obdarzonej talentami artystycznymi. Jego ojciec, łódzki robotnik, sam wyuczył się gry na skrzypcach, na tyle dobrze, że otrzymał pracę w filharmonii. Konrad Siwecki odziedziczył po swym ojcu słuch, dar bezbłędnego rozpoznawania dźwięków i słuch społeczny, wrażliwość na krzywdę. Ukończywszy o własnych siłach szkołę średnią w Gnieźnie, gdzie tymczasem przenieśli się rodzice, podjął studia w Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu. Opłacał je korepetycjami i skromną pomocą najbliższych. Po uzyskaniu absolutorium długie miesiące pozostawał bez pracy. Na krótko przed wybuchem wojny znalazł zatrudnienie w Domu Spedycyjno-Handlowym w Gdyni, gdzie zaskoczyła go okupacja. Wysiedlony, jedzie do rodziców, do Łodzi. Znów, jak w czasach studenckich, udziela korepetycji, uczy gry na fortepianie. W 1940 zostaje wywieziony do Kassel, pracuje przy wykopach wodociągowych. Uznany za niezdolnego do pracy, wraca do Łodzi. I znów lekcje gry na fortepianie, tajne nauczanie. Później godziny biurowe.

Po wyzwoleniu trafia do Czołówki Filmowej Wojska Polskiego, która przywędrowała do Łodzi z frontem. I tu wreszcie odnajduje siebie. Pracuje w Filmie Polskim i w Instytucie Filmowym, aby wreszcie związać się na zawsze z Wytwórnią Filmów Oświatowych, której był współorganizatorem. Pracuje jako redaktor, a następnie zastępca redaktora naczelnego. To z jego inicjatywy na naszych ekranach pojawił się periodyk „Czy wiecie, że...", który służył szeroko pojętej edukacji narodowej w okresie walki z analfabetyzmem. Redaguje później równie popularny „Przegląd Rolniczy". Był nie tylko wspaniałym redaktorem kilkuset filmów, które nierzadko zdobywały laury na świecie. Był także scenarzystą i autorem komentarzy, w których odcisnęło się znamię jego osobowości. Anonimowy na szybko przelatującej czołówce, jest rozpoznawalny swoim ładunkiem refleksji i przemyśleń, darem słowa celnego i prostego, które trafiały do słuchaczy. Nawet ciężko schorowany przeciążał się obowiązkami, które stanowiły sens jego życia.

Z jego odejściem kończy się pewna epoka w naszym filmie oświatowym. Być może nieobecność Siweckiego nie zostanie zauważona na festiwalowych pokazach i bankietach, gdzie pokazywał się rzadko. Ale jego myśli zabraknie na pewno na taśmie filmowej, jego spokoju i rozsądku będzie brakować na kolaudacjach i dyskusjach. Ludzie tacy jak On nie potrafią bowiem odejść niepostrzeżenie.

**K.F.**

# Kronika Kulturalna

SIERADZ. Wieluń przeżywał rozkwit w XIX wieku; był wówczas ważnym ośrodkiem obronnym. Z tego okresu zachowały się baszty i bramy. Miasto otaczały mury, których relikty przetrwały do dziś. Władze miejskie dokładają starań, aby zabytki odzyskały dawną świetność. Odrestaurowano jedną z bram, tzw. Krakowską, która wraz z odbudowanym ratuszem służy jako siedziba władz miejskich. Kontynuowane prace zmierzają do odsłonięcia jeszcze jednej bramy, tzw. Kaliskiej. Także zabytkowe baszty poddane zostaną zabiegom konserwatorskim. Projektuje się, że w odbudowanym wieluńskim barbakanie powstanie w przyszłości Muzeum Pożarnictwa.

Co roku Wieluń odwiedzają liczne rzesze turystów, dla których gospodarze miasta przygotowują atrakcyjne imprezy. W malowniczej scenerii najstarszej części miasta urządzone są inscenizacje dawnych obrzędów i zabaw.

SKIERNIEWICE. Opracowano plan rewaloryzacji Łowicza, jednego z najstarszych grodów na zachodnim Mazowszu. W przygotowaniu znajduje się szczegółowa dokumentacja odnowy pierwszego fragmentu średniowiecznej zabudowy starego miasta. Rejestr zabytków architektonicznych Łowicza obejmuje 160 budynków, w tym także klasy zerowej, którymi zabudowane jest śródmieście. Rewaloryzację Łowicza zaplanowano na kilkanaście lat.

ŁÓDŹ. W środowisku włókniarskim obserwuje się — po okresie stagnacji — wyraźne ożywienie amatorskiego ruchu artystycznego. Świadczy o tym tworzenie i rozwój wielu nowych zespołów np Pieśni i Tańca „Biawena" w Białej Podlaskiej, „Prząśniczki" w Kaliszu, „Sieradzanie" w Sieradzu, zespołu folkloru robotniczego i miejskiego w Zakładach Obrońców Pokoju w Łodzi. W ciągu minionego roku w domach kultury i świetlicach przedsiębiorstw przemysłu lekkiego powstało 79 nowych zespołów artystycznych, głównie folklorystycznych, chóralnych, kapel i orkiestr. Łączna ilość włókniarskich zespołów amatorskich wzrosła do 643. Skupiają one łącznie blisko 11,5 tys. członków.

Twórczość amatorska wśród włókniarzy rozwija się również w innych dziedzinach. Aktywną działalność przejawiają m.in. coraz liczniejsze koła plastyczne, pracownie tkactwa artystycznego, kluby filmowe itp. Dla rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego istotne znaczenie ma pomoc ze strony środowisk twórczych Obecnie już ponad 50 przedsiębiorstw przemysłu lekkiego utrzymuje stałe kontakty z profesjonalnymi instytucjami artystycznymi

WŁOCŁAWEK. Nową placówkę muzealną dysponującą interesującymi zbiorami historycznymi, etnograficznymi i archeologicznymi otwarto w Rypinie, w woj. włocławskim. Jest to Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej, utworzone w znacznej mierze w czynie społecznym przez mieszkańców regionu, zwłaszcza załogi zakładów pracy. Eksponaty ukazują dzieje Ziemi Dobrzyńskiej, znajdującej się w średniowieczu na pograniczu państwa polskiego i Zakonu Krzyżackiego.

**WYSTAWY PLASTYCZNE W ŁODZI**

GALERIA BAŁUCKA — wystawa prac Tadeusza Majdy „Łódź w malarstwie" (do 15.VIII.)

GALERIA „G 3" — wystawa malarstwa niedawno zmarłego artysty łódzkiego Mariana Jaeschke (do 15.VIII.)

MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI — „Ujarzmianie ruchu" — wystawa filmowa z Pragi (do 10.VIII.).

* * *

Dyrekcja Muzeum Sztuki w Łodzi zawiadamia, że ciesząca się wielkim zainteresowaniem wystawa 347 grafik Pabla Picassa ze zbiorów Petera i Ireny Ludwigów z Akwizgranu, eksponowana będzie w Muzeum Sztuki w Łodzi do 24 sierpnia 1980 roku.

# TYDZIEŃ W POLITYCE

Do tradycji należą już spotkania w porze urlopowej Edwarda Gierka i Leonida Breżniewa. **Również w minionym tygodniu na Krymie odbyły się przyjacielskie rozmowy obu przywódców.** Poinformowano się nawzajem o sytuacji w swoich krajach i problemach, nad którymi pracują KPZR i PZPR.

Komunikat z rozmów podkreśla, że zgodnie z porozumieniami, zawartymi w ostatnim czasie, w najbliższym pięcioleciu nastąpi rozwój kooperacji i specjalizacji, będą realizowane wielkie wspólne projekty w dziedzinie energii, a wymiana handlowa między obu krajami wzrośnie o ponad 1/3. E. Gierek i L. Breżniew zwrócili uwagę na „konieczność przedsięwzięcia przez obie strony środków w dziedzinie dokładnego i terminowego wykonania długofalowego programu specjalizacji i kooperacji oraz efektywnego wykorzystania w obopólnym interesie potencjału naukowego Polski i Związku Radzieckiego".

Oczywiście w rozmowach wiele miejsca zajęła sytuacja międzynarodowa. „Obecnie w istocie rozstrzyga się los nowej rundy wyścigu zbrojeń". **Polska i Związek Radziecki zrobią wszystko, aby powstrzymać niepohamowany rozwój potencjałów rakietowo-nuklearnych.** W maju z Warszawy, gdzie obradował Doradczy Komitet Polityczny Państw-Stron Układu Warszawskiego, rozległ się głos rozsądku i dobrej woli. Ważne jest, aby znalazł on odpowiedni oddźwięk na Zachodzie.

„Przeprowadzone w ostatnim czasie spotkania i rozmowy przywódców krajów socjalistycznych i kapitalistycznych — czytamy w komunikacie — świadczą o tym, że przeszkody, które napotykało odprężenie, zostały pokonane. Jednakże trzeba, aby żadna strona nie starała się naruszyć istniejącej równowagi sił militarnych".

Uczestnicy spotkania dyskutowali także o sprawie palestyńskiej, potwierdzając swe niezmierne poparcie dla walki Palestyńczyków o prawa narodowe, włącznie z utworzeniem własnego państwa. Z zadowoleniem podkreślono, że żądania sprawiedliwego uregulowania sytuacji na Bliskim Wschodzie zostały autorytatywnie wyrażone w specjalnej rezolucji zakończonej właśnie sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ.

Obaj przywódcy wymienili ponadto poglądy na temat palących problemów międzynarodowego ruchu robotniczego.

W dzienniku „Prawda" ukazał się wywiad L. Breżniewa, nawiązujący do piątej rocznicy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Radziecki przywódca przypomniał w nim swoje wystąpienie w Helsinkach, w toku którego podkreślał, że postanowienia Aktu Końcowego nie powinny zostać rozchwiane z chwilą, gdy na horyzoncie pokażą się pierwsze chmury. W polityce odprężenia mogą być przypływy i odpływy, „jednak przy tym wszystkim można słusznie porównywać Akt Końcowy do falochronu, który zapobiega podmyciu filarów odprężenia". **Od Helsinek nie ma drogi wstecz,** a przyjęte tam postanowienia ułatwiają cywilizacji ludzkiej przejście na wyższy etap stosunków międzynarodowych.

„Obecnie najbliższym zadaniem — podkreślił radziecki przywódca — jest konstruktywne przeprowadzenie i uwieńczenie doniosłymi wynikami madryckiego spotkania przedstawicieli państw — uczestników KBWE i zapewnienie zwołania konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Związek Radziecki jest gotów wnieść godny wkład w prace obu tych spotkań".

We wciąż bardziej powikłanej niż przed miesiącami sytuacji międzynarodowej **spotkanie madryckie powinno stać się impulsem do dalszego rozwoju procesu odprężenia.** Takiej jego funkcji obawiają się koła zimnowojenne na Zachodzie. W USA rozlegają się nawet głosy o celowości nieuczestniczenia Stanów Zjednoczonych w tym spotkaniu. W ub. tygodniu prez. Carter polemizował z takimi opiniami, podkreślając, iż mogą się one rodzić „jedynie z niezrozumienia wagi madryckiego spotkania". Komentatorzy zauważają, że zdanie to szef państwa amerykańskiego wypowiedział przede wszystkim z myślą o zachodnioeuropejskich sojusznikach USA, którzy **sceptycznie odnoszą się do polityki Waszyngtonu** i podejmowanych przezeń prób przenoszenia napięć z różnych regionów świata do Europy.

Jednym z gremiów, na których dyskutuje się problemy rozbrojenia jest, jak wiadomo, Komitet Rozbrojeniowy, pracujący w Genewie z udziałem 40 delegacji rządowych. Nie przerwał on jeszcze na wakacje swych prac. W ub. tygodniu nadal prowadzono dyskusję nad wniesioną przez ZSRR, Polskę i inne kraje socjalistyczne propozycją wypracowania kompleksowego programu rozbojenia na najbliższe lata. Program ten omawialiśmy już na tym miejscu, przypomnijmy więc tylko, **że jako cel najwyższy wymienia on całkowite i powszechne rozbrojenia** i wskazuje drogi, które do niego stopniowo powinny prowadzić.

**W. SŁAWSKI**



I już po Olimpiadzie. Biedny Miszka popłakał się na pożegnanie. Zgasł olimpijski znicz. W domach zapalonych kibiców zapanował spokój. Pozostały wspomnienia. Telewizja każe nam pewnie przeżywać to jeszcze nie jeden raz. I bardzo dobrze, bo piękne to były przeżycia. Nim przyjdzie czas na podsumowania, rozrachunki i wnioski, pozostańmy przy refleksjach.

Jak różnie wygląda zwycięstwo i klęska. Wiadomo było, że Grażyna Rabsztyn jedzie po medal. Wróciła z niczym. Jej walka, którą przegrała, trwała kilkanaście sekund. Oglądaliśmy to później wiele razy w różnym tempie pokazywane i zawsze było to zaledwie mgnienie oka. Inne były szybsze, pobiegły lepiej. Przegrała. Już po wszystkim. Zostaje rozczarowanie, że nic nie wyszło z obietnic.

Władysław Kozakiewicz właściwie nic nie obiecywał. Wiadomo było, że musi stoczyć walkę z rekordzistą świata, Francuzem P. Houvionem i dwoma pozostałymi świetnymi tyczkarzami francuskimi, że złotego medalu nie odda łatwo Tadeusz Ślusarski, że o medale będą chcieli też walczyć radzieccy tyczkarze, a wśród nich K. Wołkow. I rozpoczął się pasjonujący pojedynek.

Władysław Kozakiewicz był w nadzwyczajnej formie. Tego dnia nie było na stadionie w Moskwie człowieka, który mógłby o tyczce skoczyć wyżej niż on. To był jego dzień. I — jak wszyscy później orzekli — to była najbardziej dramatyczna, a zarazem najbardziej pasjonująca walka XXII Olimpiady. Nic się nie liczyło poza pojedynkiem tyczkarzy. Władysław Kozakiewicz uśmiechał się radośnie, uśmiechał się zwycięsko i skakał. Skoczył 5,78 m i znów rekord świata należy do niego. Jego rywalom nie pozostało nic innego, jak tylko pogratulować złotemu medaliście i rekordziście świata. Tadeusz Ślusarski i tak źle nie wyszedł na tej walce, bo wyjechał z Moskwy ze srebrnym medalem.

Piękna i porywająca była walka trzech Etiopczyków na 10 km i później na 5 km, kiedy to po złoto sięgnął Mituts Yifter. Sięgnął dwukrotnie i dwukrotnie w pięknym stylu je zdobył. A nasz

# POŻEGNANIE Z MISZKĄ

Bronisław Malinowski, kiedy najpierw został daleko w tyle za Filbertem Bayi z Tanzanii i Eshetu Tura z Etiopii. A później, rozkładając w czasie biegu siły jakby z matematyczną dokładnością, kontrolując przez cały czas swych rywali, spokojnie ich obu wyprzedził i przez nikogo już nie zagrożony dobiegł do mety, zdobywając złoty medal.

Dramatyzm walki rozgrywanej przez czas dłuższy, kiedy widzi się wysiłki wszystkich, kiedy zaczyna się rozumieć taktykę poszczególnych zawodników, kiedy widzi się nawet jak się popychają, jak sobie przeszkadzają, w sposób niezupełnie elegancki usiłując pomniejszyć szanse przeciwnika, w tak widzianej walce uznaje się wyższość zwycięzcy i znikają gdzieć pretensje do faworyta. Po prostu tego dnia był gorszy. Ale przecież jeszcze się nieraz spotkają na stadionach świata i nie jeden raz znów się zmierzą.

Jacek Wszoła skromnie deklarował, że będzie się starał, ale nie twierdził, że najwyższa forma musi przyjść akurat tego dnia, gdy będzie walczył na stadionie w Moskwie. Nie był w najgorszej formie. Ale Gerd Wessig był w formie genialnej. Nie tylko pokonał wysokość 2,33 m, nie tylko zdobył złoty medal, zostawiając Jackowi Wszole srebrny, ale na dodatek odebrał mu też rekord świata. I choć nam Jacka Wszoły było żal, nie każdy jednego dnia rozstaje się ze złotym medalem i rekordem świata, to przecież nie możemy mieć do niego pretensji. Nie był w takiej formie, w jakiej był tego dnia Gerd Wessig. Być może Jacek Wszoła do walki w Moskwie nie najlepiej się przygotował, ale to już inna sprawa. Srebro w Moskwie, po złocie z Montrealu i rekordzie świata jest tylko potwierdzeniem talentu Jacka Wszoły. Mam nadzieję, że srebrny medalista z Moskwy spróbuje odebrać rekord Gerdowi Wessigowi.

Na stadionach Moskwy, na bieżniach, matach, pomostach, torach wodnych i innych padło wiele rekordów krajowych, rekordów świata, co tylko świadczy o wysokim poziomie moskiewskich igrzysk. A odbywały się one w nie najlepszej atmosferze politycznej, którą usiłowano przenieść też i na atmosferę sportową. W prasie zachodniej pojawiły się różne doniesienia z Moskwy o braku obiektywizmu niektórych sędziów, w tym radzieckich, którzy „różnymi sztuczkami" pomagali swoim zawodnikom. Adrian Paulen — prezes Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej, powiedział na konferencji prasowej, że wszelkie pogłoski na temat tendencyjności sędziów radzieckich są pozbawione podstaw i wyraził im uznanie za sumienne wykonywanie tych obowiązków.

Nie znaczy to jednak, że w kilku przypadkach werdykty sędziów — szczególnie bokserskich i wcale nie radzieckich — nie były wątpliwe, a co najmniej zaskakujące. Będzie jednak jeszcze okazja wrócić do tego tematu oddzielnie.

Na koniec chciałabym podzielić się swoimi refleksjami na temat telewizyjnego przekazu igrzysk olimpijskich do Polski. Mieliśmy tego sporo, po 7—8 godzin dziennie. Były powtórzenia, tak że każdy, kto się sportem interesuje miał pełen przegląd tego, co się w Moskwie działo. Tu, z kraju mogliśmy widzieć i wiedzieć więcej niż ci, którzy do Moskwy pojechali, gdyż oni mogli być naraz tylko w jednym miejscu, a my przed telewizorami widzieliśmy przegląd tego, co działo się na kilku stadionach w tym samym czasie. Oni mieli nad nami tę przewagę, że widzieli to na żywo, a nie na szklanym ekranie, że mogli smakować atmosferę sportowych imprez w wielkim stylu. Ale coś z tej atmosfery, mimo szklanej przegrody i do nas docierało. I jest to niewątpliwa zasługa Telewizji Polskiej. Można wprawdzie wybrzydzać na to i owo, ale dzięki uroczej bezradności Tomasza Hopfera wobec skmplikowanej maszyny, za którą go posadzono i kazano mu w tej maszynie naciskać różne guziki, drobne potknięcia można telewizji wybaczyć.

**BOGDA MADEJ**

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: ANDRZEJ BIAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

**Od 1960 roku Igrzyska Olimpijskie poprzedza impreza, która podobnie się nazywa, ale jest przeznaczona dla sportowców — inwalidów. Również i w tym roku, w Arnhem odbyły się VI Igrzyska Olimpijskie dla Inwalidów. W Igrzyskach tych brała udział polska ekipa, która zdobyła 178 medali: 76 złotych, 50 srebrnych, 52 brązowe. Lepsi od polskiej grupy byli tylko Amerykanie. Zdobyli oni 198 medali. Za Polakami znaleźli się sportowcy — inwalidzi z RFN (156 medali), z Kanady (133), z Wielkiej Brytanii (100), gospodarze zdobyli tylko 92 medale, a Szwedzi — 89.**

BOGDA MADEJ

# POZA SCHEMATEM

Wśród 80-osobowej grupy polskich sportowców-inwalidów byli łodzianie. I oni zdobyli medale: **Alina Wieczorek** zdobyła 5 medali: trzy złote, srebrny i brązowy, **Jerzy Landos** — dwa złote, **Ewa Kwiecińska** — srebrny, **Jan Kubik** — srebrny. Srebrny medal zdobył też **Stanisław Pięcek** ze Skierniewic. W ekipie polskiej na VI Igrzyska Olimpijskie dla Inwalidów była też **Genowefa Cymbalista** z Łodzi.

— **Alina Wieczorek** złote medale zdobyła za rzut oszczepem oraz za biegi, srebrny w pchnięciu kulą, a brązowy za rzut dyskiem,

— **Jerzy Landos** otrzymał dwa złote medale za zwycięstwo w biegach na 100 i 400 metrów,

— **Ewa Kwiecińska** otrzymała srebrny medal za drugie miejsce w wieloboju łuczniczym,

— **Jan Kubik** i **Stanisław Pięcek** ze Skierniewic są srebrnymi medalistami olimpijskiego turnieju siatkówki.

1.

**WITOLD DUŃSKI, „Sportowiec", nr 28, 8 lipca 1980 r.:**

„Na pomoście do podnoszenia ciężarów w pięknej hali Ośrodka Olimpijskiego w Holandii w Papendal widziałem radość kiedy sztanga wychodziła do góry. Na jej końcach ciężar wynosił po trzy razy więcej niż sparaliżowany do połowy człowiek...

Na sali widzów dwa tysiące, więcej niż na mistrzostwach Polski, więcej niż było ich na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu, kiedy medal chciał mieć Zygmunt Smalcerz, mistrz z Monachium. Widzowie do Papendal docierali w wózkach, szli o kulach i na własnych nieruszonych ręką chirurga nogach. W Papendal była na widowni i królowa Holandii Beatrix, kiedy złoty medal zdobywał Jerzy Kuskowski z Ciechanowa, kiedy dyskiem rzucał, też po złoty medal Andrzej Popławski z Koszalina, i kiedy strasznym krzykiem pomagał dźwigać sobie ciężar Francuz Chorrihons, człowiek bez dwóch nóg!"

2.

Próchnika 9. Zwyczajna łódzka kamienica. Trzeba minąć bramę. Wejść w podwórko. Oficyna na prawo. Brudno i niemiło. Wielkie kosze pełne śmieci. Trzy stopnie. Tabliczka: **„ZRZESZENIE SPORTOWE START".**

W środku jest miło i przytulnie. Puchary, proporczyki. Widać, że to klub sportowy. Tu umówiłam się z wiceprezesem klubu — **Jerzym Hawrotem,** trenerem koordynatorem, czy może raczej trenerką koordynatorką — **Renetą Burzyńską** oraz medalistką VI Igrzysk Olimpijskich dla Inwalidów w Arnhem w Holandii — **Aliną Wieczorek.**

**Alina Wieczorek** w „cywilu" jest kierowniczką sekcji planowania produkcji w Spółdzielni „Milenium", a także przewodniczącą Rady Spółdzielczej.

3.

**ALINA WIECZOREK:** — Miałam wtedy dwadzieścia lat. To był rok 1953. Wypadek tramwajowy. Straciłam obie nogi. Nie załamałam się jednak. Mam dobre usposobienie. Można powiedzieć, jestem optymistką z urodzenia. Zawsze, w każdej sytuacji widzę dobre strony. Mogło być jeszcze gorzej — tłumaczę sobie — i zaraz sytuacja przestaje być taka tragiczna.

No więc, stało się. Dziewczyna bez obu nóg. Dobre sobie. Lekarze powiedzieli, że powinnam się dostać do Konstancina. Tam mi zrobią protezy i nie będzie sprawy. Wypisali skierowanie i powiedzieli, że karetka mnie zawiezie na miejsce.

I rzeczywiście zawiozła. Tylko w Konstancinie wywołało to sensację. Żeby dostać się do Konstancina, trzeba było czekać miesiącami. Najpierw pisało się, potem przychodziła odpowiedź, że pacjent został zapisany i musi czekać na swoją kolejkę. A mnie przywiozła karetka z Łodzi. Ni stąd, ni zowąd. Skierowanie mam w ręku. I co teraz ze mną zrobić?

Profesor Marian Weiss, przepraszam, wówczas jeszcze docent Marian Weiss w ogóle nie miał zamiaru do mnie wyjść i rozmawiać. Karetka stała, nie odjeżdżała. Ja w tej karetce. I coś trzeba było zrobić z tym fantem pod tytułem: Alina Wieczorek. W końcu docent Weiss wyszedł. Nie wiem, czym go ujęłam, bo na koniec rozmowy powiedział: — No, dobrze, niech już pani zostanie.

Zostałam. Bardzo chciałam dostać się do Konstancina, bo wszyscy mi mówili, że to jedyny ratunek dla mnie. Ale nikt mi nie powiedział, co to jest ten Konstancin. Ja nic nie wiedziałam, nikogo nie pytałam. Nie miałam w ogóle pojęcia, co to jest. I kiedy wreszcie zobaczyłam, kiedy zetknęłam się z tym ludzkim nieszczęściem, które było przecież inne niż moje, kiedy zobaczyłam ludzi powkładanych w gips, zaczęłam strasznie płakać. To był dla mnie wielki szok.

Powoli płacz mi przeszedł. Już gips mnie nie przerażał, bo zrozumiałam, że w tym gipsie jest człowiek, któremu trzeba pomóc. I że musimy sobie wzajemnie pomagać. Czasem nawet tylko dobrym słowem. Tak minęło sześć tygodni. Przechodziłam rehabilitację. Dostałam protezy. Zaczęłam uczyć się chodzić. Akurat było lato. Kazałam polewać siebie zimną wodą i chodziłam w upale, bo upał wtedy był straszny, aż woda wyparowała. Znów mnie polewali i dalej chodziłam. Aż nauczyłam się chodzić na protezach. Pomagałam sobie dwowa laskami.

Wróciłam do Łodzi. Zatęskniłam za Konstancinem. Tam czułam się dobrze. Byłam wśród swoich. A tu było inaczej. Na szczęście protezy mnie uwierały. Coś się popsuło. Więc czym prędzej wróciłam do Konstancina. Profesor Marian Weiss bał się początkowo, że może to być ucisk na nerw. Zrobiono mi operację. Okazało się, że to był tylko mięśniak. Profesor domyślił się w każdym razie, że mi przede wszystkim chodziło o powrót do Konstancina. Pozwolił mi zostać. Ktoś z lekarzy powiedział wówczas: — Alina, musisz rzucić te laski i chodzić bez lasek. — Upadnę — powiedziałam na to. — To się podniesiesz i pójdziesz dalej.

I tak się stało. Chodzenia bez lasek uczył się też pewien młodzieniec. Robiliśmy to razem. Padaliśmy. Podnosiliśmy się bez wzajemnej pomocy. Samemu. Liczyliśmy tylko upadki. Każdego następnego dnia było ich mniej. Aż doszliśmy do tego, że zaczęliśmy chodzić bez padania. Do dziś nie używam lasek. Mam wstręt do „szwedek". Na szczęście są mi niepotrzebne.

W Łodzi spotkałam uroczego człowieka — Stefana Cieślewskiego. Też inwalida. Nie ma obu rąk. Ale umie zrobić wszystko. Ma takie protezy, którymi potrafi nie tylko pisać, ale nawet rysować. Zawsze śpieszy z pomocą innymi. Był instruktorem, pomagał w rehabilitacji. Wielu ludzi mu wiele zawdzięcza. Mnie poradził, abym zajęła się sportem.

Brzmiało to, jak kiepski dowcip. Kiedy jeszcze byłam zdrowa nigdy nie myślałam o sporcie. Nie interesował mnie. Teraz nie mam obu nóg i radzą mi zająć się sportem. Kompletna głupota.

W Sierakowie organizowano pierwszą spartakiadę dla inwalidów. Pojechałam. Spróbowałam. Dostałam mnóstwo nagród rzeczowych. Jeszcze długo po powrocie do domu przysyłano mi różne nagrody. Cała rodzina bardzo cieszyła się i zachęcała mnie, abym dalej próbowała. Nauczyłam się pływać. Strzelałam z łuku. Do dziś mam cały sprzęt, ale nie mam gdzie trenować. Straciłam już siłę. Nie mogę napiąć łuku. Zajęłam się lekką atletyką.

4.

**ZRZESZENIE SPORTOWE „START"** zajmuje się szerzeniem sportu wśród inwalidów. Obejmuje ono swoim działaniem spółdzielczość, w tym również spółdzielczość inwalidzką. Dąży się między innymi i do tego, aby w „Starcie" mogli trenować, ćwiczyć i startować również inwalidzi, sportowcy nie pracujący w spółdzielczości.

W województwach: łódzkim miejskim, piotrkowskim, sieradzkim i skierniewickim działają 22 koła sportowo-turystyczne, w których jest 3 tysiące członków. A w ogóle w Polsce sport uprawia 23 tysiące inwalidów.

Nie jest łatwo być inwalidą-sportowcem. Nikt tu nikogo nie zwalnia z pracy. Spółdzielnia może zwolnić na dwa tygodnie w roku. Przed różnymi imprezami sportowymi dla inwalidów organizuje się obozy. Alina Wieczorek na przykład nie pojedzie teraz na obóz przed mistrzostwami Polski, bo nie ma kto jej zastąpić w pracy. Będzie jakoś trenować sama w Łodzi.

Z tym trenowaniem też sprawa nie jest prosta. „START" korzysta z różnych sal, żeby umożliwić inwalidom trening. Korzysta więc z wolnych godzin we własnych salach i na boisku. Wolne godziny to takie, kiedy nikt inny nie ćwiczy. Korzysta z takich wolnych godzin w „Resursie". Korzysta z sal w szkołach.

Nie ma wystarczającej ilości sprzętu. A ten co jest nie zawsze reprezentuje wysoką jakość.

— Nasi na ogół przegrywają w wyścigach wózków — **mówi Reneta Burzyńska** — a przegrywają dlatego, że nasze wózki zdecydowanie ustępują zagranicznym.

— Są kłopoty — **dodaje Jerzy Hawrot** — z kupnem sprzętu dla kół sportowo-turystycznych. Nie ma na przykład żadnej siły, aby można było kupić na rachunek tandem. A taki rower jest niezbędny dla rozwijania turystyki na przykład wśród niewidomych. Na tandemie niewidomy może podróżować z przewodnikiem. Może odbywać nawet dalekie wycieczki. Jest jednak zakaz sprzedawania tandemów na rachunek i nikomu nie można wytłumaczyć, że w tym wypadku taki zakaz jest nonsensem.

5.

**Profesor MARIAN WEISS na III Plenum KC PZPR:**

„Szczególną rolę odgrywa rozwój sportu dla ludzi niepełnosprawnych. (...) Konieczne więc jest poparcie dla dalszego rozwoju sportu. Nam medykom potrzebny jest sport po to, ażeby nasi inwalidzi w dalszym ciągu utrzymywali swoją kondycję..."

6.

**ALINA WIECZOREK:** — Sport dał mi bardzo wiele. Pozwolił zwiedzić świat. Byłam w Anglii, Holandii, Czechosłowacji i jeszcze w kilku krajach. Poznałam masę ciekawych ludzi. Wiele się nauczyłam.

Nie lubię pływać. Jest dla mnie coś przykrego w tym, że inni normalnie stają na słupku startowym i skaczą do wody, a ja muszę siadać na brzegu basenu. Na ogół ludzie wstydzą się swego kalectwa. Wstydzą się pokazać innym, że czegoś im brakuje. Mnie już nie o to chodzi. Mnie samej wewnętrznie jest jakoś nieprzyjemnie.

To jest bardzo dziwne, że kraj, który z takimi stratami wyszedł z wojny, z taką ilością ludzi przez tę wojnę poszkodowanych, nie potrafił do tej pory wytworzyć takich warunków, w których inwalida mógłby się czuć normalnie. Na przykład w NRD widziałam na basenach zrobione specjalne windy dla inwalidów. Na taką windę można przenieść się prosto z wózka. U nas o tym nikt nie pomyślał.

Nie myśli się o tym, że są ludzie, którzy mogą poruszać się tylko na wózkach. Jak jestem za granicą, to często korzystam z wózka, bo mogę nim wszędzie wjechać. Do każdego sklepu. U nas to jest niemożliwe. U nas człowiek poruszający się na wózku musi mieć pomocnika, który pomoże mu pokonać krawężniki, załatwi za niego sprawę tam, gdzie wózek nie wjedzie przez wąskie drzwi.

Rozmawialiśmy w spółdzielczości mieszkaniowej o potrzebie zaprojektowania choć części domu tak, aby mogli tam mieszkać inwalidzi. Przyznano nam rację, ale znaleziono tyle formalnych przeszkód, że projekt pozostał nadal w sferze marzeń.

7.

**Profesor MARIAN WEISS na III Plenum KC PZPR:**

„... wszystkie budynki w naszym kraju powinny być atestowane pod względem dostępności dla ludzi niepełnosprawnych. Jest to wbrew pozorom bardzo prosta i mało kosztowna działalność...

... nie tylko musimy pamiętać o niepełnosprawnych, lecz także o ludziach czasowo unieruchomionych, na przykład o matce z dzieckim i innych.

... rozwijając program bezpieczeństwa na drogach, budując przejścia podziemne lub kładki należy zalecać rampy zamiast schodów, jest to możliwe w większości krajów.

Proponuję..., aby w całym kraju 4 procent budowanych mieszkań było „przystosowywalne" dla niesprawnych. Głównie i prawie jedynie chodzi o to, by dostęp do domu był wykonany bez schodów, albowiem sama adaptacja mieszkań nie jest wcale taka trudna jak by się wydawało..."

8.

**ALINA WIECZOREK:** — Mam teraz problem. Wiem, że rzucam dyskiem czy oszczepem z pozycji siedzącej znacznie dalej i osiągam lepsze wyniki. Na Olimpiadzie w Holandii rzucałam z pozycji stojącej. Kłopot mieli ze mną, bo chcieli stawiać barierkę, abym nie upadła. Ale barierka mi przeszkadzała. Nie upadłam.

Chciałabym mieć lepsze wyniki. Ale wtedy muszę ćwiczyć w pozycji siedzącej. A ja tego nie chcę. Jeden trener mówi: — niech pani rzuca z wózka. — Drugi trener powiada: — niech pani rzuca tak, jak pani woli.— Wolę pozostać w pozycji stojącej. Nie po to tyle czasu uczyłam się chodzić i to chodzić bez lasek, żebym teraz znów wróciła do wózka. W moim przekonaniu cały sens rehabilitacji sprowadza się do powrotu do właściwej postawy, jak największe zbliżenie się do normy. Więc niech wszystko zostanie tak, jak jest. Będę nadal rzucała z pozycji stojącej.

Trenuję dwa razy w tygodniu. Mam samochód. Już nie pierwszy. Ten pierwszy pomogli mi załatwić. Była u nas wizytacja z ministerstwa i wizytujący powiedział: — pani powinna mieć samochód! — Ale, skąd go wziąć? Nie mam przydziału. — To niech pani przyjedzie do Warszawy, dam pani przydział. — I dał. Samochodem więc jadę na stadion. Zimą trenujemy w sali szkolnej. Tego samego dnia jest też dla nas basen. Więc po treningu jedziemy na basen. We wtorki i czwartki. Teraz będę musiała sama trenować, bo reszta albo na urlopach, albo na obozie. Przygotowują się już do mistrzostw Polski inwalidów, jakie odbędą się w Wałbrzychu.

9.

**Profesor MARIAN WEISS na III Plenum KC PZPR:**

„Pragniemy postulować poparcie dla dalszego rozwoju spółdzielczości jako integralnej części polskiego systemu rehabilitacji. Trzeba modernizować działające spółdzielnie, myśleć o nowych, starać się uwzględniać te sprawy w ramach dużych zadań inwestycyjnych — tworzyć spółdzielnie inwalidów (które, jak wiadomo, wspaniale wykonują swoje zadania produkcyjne). Wiemy, że w systemie spółdzielczości inwalidzkiej absencja chorobowa jest najniższa. Jest to wynikiem niezwykłej motywacji tych ludzi do pracy!"

W Łodzi na poprawę warunków pracy czeka między innymi spółdzielnia inwalidów **„Milenium".** Sytuację tej spółdzielni ujął ktoś bardzo lapidarnie i trafnie: — Są obietnice, ale nie ma nadziei.

Nie nauczyliśmy się patrzeć na inwalidów normalnie. Jest to dla nas ciągle jeszcze coś innego, dziwnego, wstydliwego nawet. A są to tacy sami ludzie i tak należy ich traktować. Nie inaczej.

Zbliża się Międzynarodowy Rok Inwalidy. Odbędzie się drugi kongres rehabilitacji polskiej. Być może teraz inaczej spojrzymy na sprawy inwalidów, być może dostrzeżemy je pośród piramidy różnych spraw do załatwienia i nadamy im nieco wyższą rangę.

10.

**ALINA WIECZOREK:** — W Arnhem był taki wielki, ogromny namiot, gdzie były bufety, stoliki, parkiety, estrady, orkiestry. Zbieraliśmy się tam po zawodach i przebywaliśmy do 23.00. Ktoś powiedział żartem, że jeszcze chyba nigdy nie udało się zgromadzić tyle nieszczęścia ludzkiego na tak małej przestrzeni. Ale my nie byliśmy nieszczęśliwi. Bawiliśmy się, śpiewali, tańczyli. Każda ekipa dawała koncert. Taki zaimprowizowany. My śpiewaliśmy nasze piosenki. Sala podchwytywała refreny. Było naprawdę bardzo przyjemnie.

Olimpiada była zorganizowana na medal. Wszystko odbyło się punktualnie, zgodnie z planem. Była defilada, były gołębie, występowały holenderskie gimnastyczki. Jaki to był piękny pokaz.

Zawody odbywały się w kilku miejscach: w Papendal, Veenendal, Rijhal. Pomiędzy poszczególnymi stadionami regularnie kursowały specjalne autobusy. Nie było najmniejszego kłopotu z przeniesieniem się z miejsca na miejsce. Wszystkie stadiony były pełne. Myślę, że nasze społeczeństwo nie jest jeszcze przygotowane do oglądania takich zawodów. A bilety w Holandii wcale nie były tanie, do 10 guldenów, to jest więcej niż 5 dolarów. I ludzie kupowali.

To było piękne przeżycie!

*Foto: Archiwum*

11.

**WITOLD DUŃSKI, „Sportowiec", nr 28, 8 lipca 1980 r.:**

„Ściągnęli z odległego o sto kilometrów Amsterdamu, z Hagi i Hilversum, z całej Holandii. Na wezwanie organizatorów podjęli się społecznej pracy przez okres trzech tygodni. Nie zostali do niej zwolnieni. Musieli wziąć własne urlopy i nie dostali żadnego wynagrodzenia! Jedyną zapłatą dla hostess były jasne spódnice i marynarki z trzema kółkami, ściśle z sobą połączonymi. Taki był i będzie w przyszłości znak olimpijski, umieszczony na flagach zamiast tradycyjnych pięciu kół.

12.

**JERZY HAWROT:** — Narobili nasi medaliści trochę szumu koło spraw inwalidów, koło sportu inwalidów. Ale teraz znów wszystko ucichnie na cztery lata. Do następnej olimpiady.

# DZIEJÓW ŁODZI CZĘŚĆ PIERWSZA

Polskie miasta, jak wszystkie miasta na świecie — i te duże, i te małe, i te stare, i nowe — mają swoją historię. Przedstawiciele społeczności tych miast dążą do tego, aby historię tę spisać i tym utrwalić ją dla przyszłych pokoleń. I mają do tego prawo, choć nie zawsze takie dążenia dają spodziewane rezultaty. Ale są miasta, których historię szczególnie należy utrwalić. Odegrały one bowiem w dziejach narodu, w dziejach państwa rolę specyficzną. Do grona takich miast należy Łódź. Bez znajomości historii Łodzi przemysłowej nie można w pełni poznać i zrozumieć rozwoju kapitalizmu w Polsce, rozwoju burżuazji i klasy robotniczej oraz dziejów jej walki.

Dziejami Łodzi zainteresowano się już w XIX wieku. Wymienia się na ogół książkę **Oskara Flatta „Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym"**, wydaną w 1853 roku, jako początek pisania o mieście i jego przeszłości. Do Oskara Flatta przyznają się historycy, pisarze, reporterzy, uważając go za „ojca piśmiennictwa o Łodzi" w swojej dziedzinie. Oskarowi Flattowi można również przypisać pierwszeństwo w „odkryciu" specyfiki Łodzi, wyrażającej się ścisłym powiązaniem rozwoju miasta z rozwojem przemysłu.

**„Nie ma w całym kraju miasta** — pisał O. Flatt — **by tyle co Łódź zawdzięczało przemysłowi; miasta, które by przez przemysł z zupełnego zapomnienia, z zupełnej nicości, podniosło się na ten stopień zamożności i rozwoju...".**

Wiele polskich miast, w tym również miasta w okręgu łódzkim, dzięki przemysłowi podniosło się **„z zupełnej nicości"**, to przecież z żadnym nie stało się to w takiej skali jak w Łodzi. Dostrzeżenie tego faktu było niewątpliwie zasługą Oskara Flatta.

Przeszłość Łodzi budziła i budzi zainteresowanie historyków, publicystów, reporterów. Do 1918 roku o Łodzi i jej problemach pisali przede wszystkim dziennikarze, politycy, lekarze, publicyści zajmujący się sprawami społecznymi, gospodarczymi, Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku powstały warunki dla podjęcia naukowych badań nad przeszłością miasta. Zaczęto publikować artykuły, książki, teksty źródłowe. Ale dopiero po 1945 roku nastąpił szybki rozwój badań nad przeszłością Łodzi.

Długa jest lista badaczy i długa lista publikacji o historii Łodzi. Należy z niej wymienić **Gryzeldę Missalową, Bohdana Baranowskiego, Ryszarda Rosina, Edwarda Rosseta, Alinę Barszczewską, Romana Kaczmarka, Władysława L. Karwackiego.** Zajmowali się oni najdawniejszą przeszłością miasta, kształtowaniem się okręgu łódzkiego i dziejami przemysłu w tym okręgu, publikowali książki z dziejów ruchu robotniczego. Powstały też monograficzne prace o Łodzi, jak na przykład **B. Baranowskiego „Łódź rolnicza (Od połowy XVI do początku XIX w.)"** czy **Adama Ginsberta — „Łódź. Studium monograficzne".**

O pełnej, obszernej monografii dziejów Łodzi myślano już od dawna. **Ryszard Rosin** wspomina we wstępie do tomu pierwszego książki **„Łódź. Dzieje miasta"**, że pod koniec lat pięćdziesiątych naszego stulecia próbowano rozpocząć pracę nad monografią, ale okazało się to niemożliwe z kilku powodów: **„stan badań był słabo zaawansowany, zabrakło mecenatu, wystąpiły również trudności ogólnowydawnicze".**

Ale badania nad historią Łodzi trwały nadal I dzięki temu mógł się obecnie ukazać wspomniany już pierwszy tom monografii o Łodzi: **„Łódź. Dzieje miasta"**. Dwa następne są w przygotowaniu.

Ukazanie się pierwszego tomu monografii **„Łódź. Dzieje miasta"** nie tylko zaspokaja zapotrzebowanie na tego rodzaju publikacje, ale stanowi też jakby zamknięcie pewnego okresu badań nad dziejami miasta, jego życiem społecznym, gospodarką, kulturą. Jest to podsumowanie tych badań, bez których ukazanie się książki byłoby niemożliwe. Jednocześnie jest ona jakby pomostem dla dalszych naukowych poszukiwań.

Dzieje Łodzi opisane zostaną w trzech tomach. Periodyzacja tych dziejów jest dość prosta: feudalizm, czyli od czasów najdawniejszych od lat 1820—1823; kapitalizm, czyli bujny rozwój Łodzi w XIX wieku i w początkach XX wieku, wojna 1914—1918, niepodległość, wojna 1939 r. i okupacja; socjalizm, czyli od 1945 roku do naszych czasów. Monografia obejmie dzieje Łodzi do 1980 roku. Przy projektowaniu i pracy nad monografią trzeba było odstąpić od takiego podziału. Zmusiła do tego objętość materiału obejmującego poszczególne okresy. Materiał dotyczący okresu feudalnego w dziejach Łodzi jest dość skromny. Obszerny jest natomiast, jeśli chodzi o dzieje późniejsze. Z tego powodu w tomie I zawarto dzieje miasta od jego czasów najwcześniejszych do uzyskania niepodległości w 1918 roku. Tom drugi obejmie dzieje międzywojenne, wojnę i okupację Łodzi. Tom trzeci — dzieje miasta w Polsce Ludowej.

Redaktorami tomu pierwszego są: **Bohdan Baranowski i Jan Fijałek.**

Autorami: **Kazimierz Badziak, Bohdan Baranowski, Alina Barszczewska-Krupa, Jan Chańko, Jan Fijałek, Anna Halicz, Julian K. Janczak, Janina Jaworska, Maria Kamińska, Jadwiga Konieczna, Bronisława Kopczyńska-Jaworska, Marek Koter, Anna Kuligowska, Alfons Pellowski, Eugenia Podgórska, Wiesław Puś, Ryszard Rosin, Paweł Samuś, Jerzy Tynecki, Janusz Wróbel, Halina Zawilska.**

Wydawca: **Państwowe Wydawnictwo Naukowe**, Warszawa — Łódź, 1980.

Autorzy poszczególnych rozdziałów tomu pierwszego monografii o Łodzi w sposób krytyczny odnoszą się do wielu dotychczasowych poglądów na temat rozwoju miasta. Mocno na przykład akcentują wewnętrzne przyczyny rozwoju kapitalizmu w Polsce i w Łodzi, nie traktują go — jak to uważano niejednokrotnie — jako „importu" z Zachodu. Również i sam rozwój Łodzi w XIX wieku nie był tylko — jak to niekiedy sądzono — wynikiem emigracji tkaczy z zachodu Europy w te rejony Królestwa Polskiego. Zamysł przekształcenia upadającego miasta w osadę włókienniczą narodził się tutaj już w 1815 roku, o czym powiadamiał władze zwierzchnie burmistrz, Sz. Szczawiński. Pomysł ten zrealizowano znacznie później i zadecydowały o tym różne okoliczności, również wizyta Rajmunda Rembielińskiego w Łodzi. Ale nie doszłoby do tak gwałtownego rozwoju miasta, gdyby nie działały wewnętrzne przyczyny, które sprzyjały rozwojowi kapitalizmu w Polsce.

Autorzy duży nacisk położyli na ukazanie specyfiki rozwoju miasta, jego odrębności, inności.

**„Wysoki potencjał ekonomiczny i demograficzny osiągnięty przez Łódź już w drugiej połowie XIX wieku** — pisze we wstępie Ryszard Rosin — **skłania autorów różnych prac do porównywania jej we wszystkich dziedzinach życia z takimi ośrodkami, jak Warszawa, Kraków czy Poznań. Prowadzi to na ogół do negatywnej i niesłusznej oceny naszego miasta, zwłaszcza w zakresie warunków bytowo-zdrowotnych, kultury i oświaty. Oceny te bowiem nie uwzględniają zazwyczaj specyficznej drogi rozwoju Łodzi oraz ogólnie panujących warunków w kraju".**

Był taki czas, że fascynowaliśmy się takimi właśnie porównaniami, gdyż ukazywały one nasze opóźnienia i wytyczały niejako zadania na przyszłość. Duże miasta w Polsce miały wprawdzie odmienną historię i to nie tylko w dalekiej, ale i w najnowszej historii. Ich społeczności stawiały sobie takie same w zasadzie cele: tak organizować życie, aby sprzyjało ono spełnieniu aspiracji i dążeń mieszkańców. Różnie je realizowano. To prawda. Decydowały o tym warunki, w jakich rozwijały się poszczególne miasta. Decydowali ludzie, którzy tą organizacją życia się zajmowali. Ale to nie musi wykluczać porównań. Przeciwnie. Zakłada je. A, że takie porównania są dla Łodzi krzywdzące, o tym wiemy i od dawna próbujemy te dysproporcje wyrównać, choć nie przychodzi nam to łatwo.

Łódź nie była centrum życia kulturalnego Królestwa Polskiego, nic więc dziwnego, że rozwijało się ono z trudem, inaczej niż gdzie indziej i w miarę tego, jak kształtowało się zapotrzebowanie na kulturę, jak formowały się grupy ludzi, którym potrzebne stawały się książki, teatr, muzyka. Monografia stara się możliwie w pełni pokazać ten proces, kładzie nacisk nie tyle na „łódzką kulturę i sztukę", co na rozwój życia kulturalnego, literackiego, na rozwój sztuki w Łodzi. Dzięki temu trafniej i pełniej oceniono poszczególne zjawiska kulturalne, twórców i ich dorobek.

Pierwszy tom monografii o Łodzi niewątpliwie przyczyni się do rozwoju i ugruntowania wiedzy o mieście. Obali niektóre mity i schematy utrwalone w społecznej świadomości. Skłoni do zainteresowania się szczegółowymi publikacjami o różnych okresach i wydarzeniach z dziejów Łodzi. Można mieć nadzieję, że monografia wywoła dyskusję nad niektórymi poglądami dotyczącymi naszej miejskiej przeszłości, a także miejscem i rolą Łodzi w dziejach kraju.

Na koniec warto zgłosić pewien postulat pod adresem redakcji całości. Ponieważ monografia, mimo niewielkiego nakładu, bo tylko 6 tysięcy egzemplarzy, dotrze do różnych czytelników, w tym również do czytelników młodych, którym będzie przez długie lata służyła jako pomoc w poznawaniu dziejów ojczystych, byłoby więc dobrze, aby jako uzupełnienie całości ukazał się spis ulic miasta w ich dawnym i obecnym brzmieniu, jak też spis łódzkich fabryk z ich historycznymi i obecnymi nazwami. Mam też nadzieję, że do trzeciego tomu dołączony będzie komplet map, ukazujących w całości historyczny rozwój miasta.

Mam wszakże małą pretensję do redaktorów monografii za ów prowincjonalnie brzmiący spis podziękowań wszystkim komu trzeba i nie trzeba. W końcu podstawowym zadaniem wydawcy jest wydawać książki, a podstawowym obowiązkiem urzędników od kultury i nauki dobrze się ze swoich zadań wywiązywać.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

# Gwarancje Wielkiej Brytanii i artykuł w „The Times"

Deklaracja Chamberlaina **z 31 marca 1939 roku o** udzieleniu gwarancji Polsce zredagowana była w typowo angielskim stylu, była klasycznym przykładem niedopowiedzenia. Jej starannie dobrane słowa faktycznie oddawały wieloznaczną postawę. Nie tyle stwarzało to możliwości dowolnej interpretacji, co służyć miało z góry przewidzianej wykładni treści gwarancji.

Jednakże — pewne uczucie ulgi, jakie przyniosła deklaracja narodom i rządom państw potencjalnie zagrożonych przez III Rzeszę, satysfakcję części brytyjskiej opinii publicznej i tym spośród polityków brytyjskich, którzy z pewną przenikliwością oceniali sytuację i domagali się nowej polityki, nie trwało długo.

Już następny dzień przyniósł bowiem potwierdzenie, że w efektownych oświadczeniach jest dużo przesady. **1 kwietnia 1939 roku „The Times"** zamieścił wielce osobliwy artykuł wstępny zawierający interpretację gwarancji ogłoszonej przez Chamberlaina. Artykuł „Timesa" zwracał uwagę, iż kluczowe znaczenie posiada zasada niepodległości, a nie integralność. Podkreślał, że nawet obrona polskiej niepodległości może być brana pod uwagę tylko wówczas, jeśli jej zagrożenie będzie wyraźne, jeżeli Polska podejmie wyzwanie. Polska decyzja oporu podjęta za radą Wielkiej Brytanii czy też bez niej nie miała — zdaniem „Timesa" — przesądzić jeszcze o reakcji Wielkiej Brytanii, której rząd korzystał z prawa rozstrzygnięcia, czy zagrożenie polskiej niepodległości było wyraźne czy też nie. W drugim przypadku Wielka Brytania, używając słów „Timesa", **„prawdopodobnie nie będzie czuła się zobowiązana".**

Artykuł nie tylko duchem, ale także literą przypominał inne słynne wystąpienie „Timesa", które stało się kamieniem węgielnym Układu Monachijskiego. Brzmiał on: **„oświadczenie pana Chamberlaina nie zawiera żadnej ślepej zgody na status quo. Wprost przeciwnie. Z powtarzanych przez niego wzmianek o swobodnych negocjacjach wynika, że są problemy, które z konieczności trzeba jeszcze uzgodnić. Nowe zobowiązanie nie obliguje Wielkiej Brytanii do obrony każdej piędzi terytorium Polski w jej obecnych granicach".**

Artykuł ten wyszedł spod pióra redaktora naczelnego „Timesa", Geoffreya Dawsona i był wykładnią opinii i intencji brytyjskich kół politycznych, a przede wszystkim autorów gwarancji. Fakt, iż właśnie „The Times" podjął się roli owego interpretatora, nie był przypadkowy Dziennik ten posiadał zawsze nie tylko magiczny wpływ na kształtowanie poglądów Brytyjczyków, ale dla wielu spośród nich był jakby wyrocznią.

Redaktorzy tego elitarnego dziennika zawsze mieli na uwadze prestiż korony brytyjskiej i interesy Imperium. To i tylko to wytyczyło linię ich postępowania. Uzurpowali sobie prawo najwyższego arbitra w ocenie, czy dany krok przyniesie korzyści Imperium czy tylko zakłóci spokój mieszkańców Wyspy. Stosunek dziennika do Polski i Polaków był tylko pochodną kalkulacji politycznych.

Interpretacja zawarta w „Timesie" dowodziła, że Chamberlain, Simon, Dawson, a także — choć w mniejszym stopniu — Halifax nadal byli gotowi akceptować zmiany ugruntowujące przewagę Niemiec w Europie, byle by dokonywane były drogą rokowań, w których uczestniczyłaby Wielka Brytania, a nie przy użyciu siły zbrojnej. Ta linia polityczna była wynikiem praktycznego, kupieckiego sposobu widzenia zjawisk; była przeniesieniem — bez jakiejkolwiek adaptacji — praw biznesu, wynikających i uzasadnionych rachunkiem ekonomicznym, do sfery wielkiej polityki. Nie rozumiano wszakże, że przetrwanie kryzysu w gospodarce może przynieść nową koniunkturę, w polityce natomiast tolerowanie wzrostu potęgi agresywnego przeciwnika prowadzi zawsze do katastrofy.

Celem publikacji „Timesa" była możliwie największa minimalizacja brytyjskich gwarancji i szerokie otwarcie furtki do ewentualnego wycofania się z nich na wypadek, gdyby przyszły rozwój wydarzeń za tym przemawiał. Celem autora artykułu i jego inspiratorów było zachęcenie rządu polskiego do negocjacji z Niemcami. Gwarancja więc, którą Polska zgodziła się przyjąć dla wzmocnienia swojej pozycji w odpieraniu niemieckich żądań w sprawie Gdańska i Korytarza, miała obowiązywać, jeśli Polacy wykazaliby gotowość w tych najżywotniejszych dla niej kwestiach.

Od połowy marca 1939 roku żywo dyskutowano w Wielkiej Brytanii o sytuacji politycznej ówczesnej Europy. Kierunek tych dyskusji, ich ton i wnioski były niemal identyczne: należy przeciwstawić się dalszej ekspansji III Rzeszy, a zrobić to może tylko Wielka Brytania. Te wnioski i postulaty, kierowane pod adresem rządu ze wszystkich kierunków i niemal wszystkimi możliwymi drogami, przerażały rządzącą aktualnie Wielką Brytanią grupą zwaną „Clividen". Zignorowanie ich groziło poważnymi komplikacjami tak natury wewnętrznej — z upadkiem rządu włącznie — jak i natury międzynarodowej i dalszą degradacją Wielkiej Brytanii jako światowego mocarstwa i obniżeniem jej autorytetu. Zastosowano więc oryginalną taktykę: jeden przedstawiciel grupy „Clividen" oficjalnie i uroczyście ogłosił doniosłą deklarację, drugi — nieoficjalnie — pozbawił ją treści.

Analiza artykułu „Timesa" pozwala stwierdzić, że jeszcze na przełomie marca i kwietnia 1939 roku grupa „Clividen" tkwiła w błędnej ocenie istoty i celów faszyzmu oraz osoby Hitlera. Chamberlain i jego koledzy uważali nadal Hitlera za dżentelmena, który nie tylko pamięta o obietnicach i zobowiązaniach, ale i do nich się stosuje.

Artykuł „Timesa" wywołał zdumienie europejskich kół politycznych i zaniepokoił tę część polityków brytyjskich i opinii publicznej, która od dawna domagała się sprecyzowania nowych zasad polityki brytyjskiej, czyli wszystkich tych, którzy, w przeciwieństwie do redaktora „Timesa", w zdecydowanym przeciwstawieniu się poczynaniom Rzeszy widzieli właściwą drogę ratowania prestiżu korony brytyjskiej i jej interesów.

Najgwałtowniej spośród znanych polityków brytyjskich zareagował na incydent „Timesa" jeden z przywódców opozycyjnej Labour Party, Hugh Dalton. Udał się on do redakcji „Timesa", by wykazać, jakie szkody przynoszą Wielkiej Brytanii podobne wystąpienia. W swoim przemówieniu w Izbie Gmin z 3 kwietnia 1939 roku nazwał on redakcję „Timesa" skupiskiem zdrajców i piątą kolumną Hitlera w Londynie.

Ambasador Polski w Londynie Raczyński, w sobotę, 1 kwietnia 1939 roku rano udał się do Foreign Office, by wyrazić zdziwienie i wskazać na niebezpieczeństwo, jakie spowoduje artykuł. Dyplomata polski wyraził obawy, iż paragraf 2 oświadczenia Chamberlaina może być przyjęty jako oznaka słabości wobec Niemiec, może zachęcić Hitlera do żądania negocjacji i przedstawienia maksymalnych żądań w sprawie Gdańska, Korytarza i Śląska.

Foreign Office, na polecenie Halifaxa, wyraziło zdziwienie z powodu pomniejszenia znaczenia gwarancji, jednak — co jest bardzo charakterystyczne — nie zaprzeczyło wyraźnie interpretacji „Timesa". Polsce nie pozostało nic innego, jak uznać się za usatysfakcjonowaną.

Artykuł „Timesa" choć częściowo zdezawuowany przez Foreign Office, przyniósł znacznie więcej zła, niż przypuszczali jego autorzy. Stał się on potwierdzeniem nie tylko dla Hitlera, ale i dla Mussoliniego, przygotowującego się do aneksji Albanii, że nowe słowa niekoniecznie muszą znaczyć nową treść, szczególnie gdy są użyte do określenia polityki brytyjskiej. Uznanie więc dementi przez rząd polski za załatwienie sprawy ocenić należy jako błąd.

**HENRYK JACKIEWICZ**

## HISTORIA

# METODY I WYNIKI

ANDRZEJ F. GRABSKI

Muza historii — Clio — przechodzi dziś intensywną kurację odmładzającą. Niedawne to czasy, kiedy historia podkreślała z dumą, że wśród innych nauk społecznych wyróżnia się dawnością i upatrywała w tym swój tytuł do chwały. Teraz wszystko jest inaczej. Clio poszukuje nowoczesności, jak grzyby po deszczu powstają nowe — naprawdę, czy tylko z pozoru — kierunki historiograficzne, z których wiele przybiera epatujące nowoczesnością nazwy, takie jak „Nowa Historia Gospodarcza", „Nowa Historia Miejska", „Nowa Historia Społeczna" i tym podobne. We wszystkich stronach świata historycy — nie zawsze znów tak bardzo nowatorscy — wytężają swe umysły, aby pokazać wszem i wobec, że to co robią, jest rzeczywiście nowe, skoro nowość stała się wartością i wyznacznikiem naukowego prestiżu.

Kiedy organizatorzy pewnego zjazdu naukowego, który ma się odbyć na jesieni, zaproponowali mi wygłoszenie referatu o nowych kierunkach w historiografii polskiej, po namyśle musiałem odmówić tej prośbie. Przecież każdy z nas, historyków, jeżeli coś robi, pisze i publikuje, czyni to dlatego, że uważa — mniejsza, czy zasadnie, czy też nie — iż jego ustalenia badawcze są w jakiejś mierze nowe i w związku z tym stanowią wkład do nauki historycznej. Bowiem pojęcie nowości funkcjonuje w nauce historycznej co najmniej w dwóch płaszczyznach. Pierwsza z nich, to płaszczyzna tematyczna: każdy problem, który nie doczekał się dotąd naukowego opracowania, jest przecież w jakimś sensie nowy, i to nawet wówczas, gdy opracowujemy go podług najstarszych reguł historycznego badania. Ale nowości występują w historiografii także w odmiennym znaczeniu, mianowicie w płaszczyźnie metodologicznej. Chodzi wówczas o nowości ujmowania badanej problematyki, choćby od dawna badanej przez naukę, a więc w jakimś sensie starej, o tę nowość badawczego spojrzenia, która sprawia, że zagadnienia zdawałoby się znane ukazują się nam w nieznanej dotąd, w więc nowej perspektywie. Jak tu więc mówić o nowości w tej starej dyscyplinie naukowej, jaką jest historia, kiedy obie płaszczyzny nowości nierozłącznie splatają się ze sobą tak, że niepodobna ich nieraz rozdzielić? Jak tu mówić wobec paruset kolegów po fachu, że to, co robią, jest czy nie jest nowe, kiedy kryteria wyróżnienia owej nowości nie są znów wcale takie jasne, jakby się mogło zdawać, a rozgraniczenia są niezmiernie trudne do przeprowadzenia? Czy nie lepiej — i łatwiej — mówić w tych warunkach o nowych kierunkach w skali ogólniejszej, międzynarodowej, zwracając przy tym uwagę na nowość przede wszystkim w znaczeniu metodologicznym?

Do niedawna nowość w historiografii bywała artykułowana przede wszystkim postulatywnie, w konwencji: należałoby, trzeba by itd. Taki też w znacznej mierze charakter miała publikacja zbiorowa **„Historia i nowoczesność"**, ogłoszona w 1974, a przynosząca pokłosie międzynarodowej konferencji naukowej, która odbyła się rok wcześniej w Warszawie, poświęconej zagadnieniom unowocześnienia badawczego warsztatu historyków. Książka, nad którą chciałbym się dziś zatrzymać, ma nieco inny charakter: przynosi ona już nie tylko postulaty, ale prezentuje także gotowe — choć nieraz cząstkowe jeszcze — wyniki przeprowadzonych już, lub będących w toku badań, uzyskane w oparciu o nowe koncepcje metodologiczne oraz nowe techniki badawcze. Tom **„Metody i wyniki. Z warsztatu historyka dziejów społeczeństwa polskiego"**, opracowany pod redakcją **Stanisława Kalabińskiego przy współudziale Joanny Hensel i Ireny Rychlikowej** (PWN 1980) zrodził się z konkretnych badań źródłowych nad dziejami społecznymi Polski w XIX i XX w. **„Powstał on — jak czytamy we wstępie — jako wynik poszukiwań odpowiedniej dokumentacji źródłowej oraz najskuteczniejszych metod i technik badawczych, które by zapewniły realizację szerokiego planu badań społeczeństwa polskiego".**

Tym razem nie chodzi jedynie o deklaracje i postulaty. **„Problematyka unowocześnienia rozwoju metod badawczych, w związku ze stałym rozszerzaniem katalogu pytań badawczych i roznącymi możliwościami technicznym** — powiada S. Kalabiński — **były i są rozpracowywane teoretycznie w formie idealnych modeli i generalnych zaleceń praktycznych. Lecz nas interesuje obecnie problematyka ich praktycznego zastosowania do tych typów źródeł, którymi możemy rozporządzać, wzbogacenie naszego warsztatu badawczego drogą empirycznych doświadczeń, przeprowadzanych w konkretnym celu badawczym na konkretnym materiale źródłowym, a którym określonymi metodami można najpełniej opracować. Uzyskane wyniki potwierdzić mogą celowość zastosowania danej metody do danego zespołu źródeł, słuszność postawionych pytań badawczych, przyczyniając się bezpośrednio do rozwoju danej metody".**

S. Kalabiński podkreśla, że aczkolwiek w zagranicznej literaturze naukowej spotykamy się z licznymi inspirującymi, nawet kuszącymi propozycjami metodycznymi, przecież nie wszystkie spośród nich mogą mieć zastosowanie do tej dokumentacji, którą rozporządza historyk polskiego społeczeństwa XIX i XX stulecia. Stąd nie jest możliwe ich bezkrytyczne „przenoszenie" na nasz grunt, a jeżeli możliwe i celowe, to w ograniczonym zakresie; stąd — z drugiej strony — potrzeba poszukiwania nowych własnych propozycji takich, które acz gdzie indziej nieznane, mogą mieć znaczenie dla zbadania naszej dokumentacji, a może także i jakiej innej.

Omawiany tom przynosi studia — najogólniej mówiąc — z historii kwantytatywnej. Nie sposób wymienić tu tytuły czternastu rozpraw, które się złożyły na tę interesującą całość, poświęconych bardzo różnorodnej tematyce, poczynając od zagadnień ściśle gospodarczych, po problematykę historii społecznej. Zakres problemowy poszczególnych prac nie jest do siebie całkiem współmierny: obok drobnych przyczynków — jak studium o ekonomicznej analizie przedsiębiorstwa cukrowniczego w latach 1878—1906 — mamy tu także teksty bardziej ogólne — by wspomnieć rzecz **S. Kalabińskiego i F. Tycha „Metoda badań osobowości społecznej i składu uczestników ruchu robotniczego w Polsce w XIX i XX w."** — a nawet prace o charakterze raczej metodologiczno-metodycznym, aniżeli stanowiące konkretne, źródłowe studia nad jakimś zagadnieniem. Z tych ostatnich na szczególną uwagę zasługuje — naszym zdaniem — piękny szkic **Andrzeja Wyczańskiego „Historyk wobec liczby"**, oparty o własne doświadczenia i obserwacje badawcze autora, historyka, który już dawno zafascynował się możliwościami, jakie otworzyły przed historiografią metody kwantytatywne. A. Wyczański nie jest jednak kwantytatywistą skrajnym, jakich wiele dzisiaj w świecie, nie programuje też — jak niektórzy entuzjaści nowoczesności w historii — jakiegoś pełnego skwantytatywizowania Clio. **„Ujęcia liczbowe w badaniach historycznych** — powiada — **mogą mieć charakter istotny tak ze względu na własne potrzeby badawcze i sposoby rozumienia procesu historycznego, jak też i w celu zrozumienia postępowania i decyzji oraz motywacji działań dawnych ludzi, dla których liczbowe określanie świata i jego zjawisk nie było obce".** Przeciwstawiając się zarówno hiperkrytycyzmowi wobec ujęć ilościowych, jak wierze w **„autonomiczną moc badawczą metod kwantytatywnych"**, uczony konkluduje: **„Liczba w badaniach historycznych odegrała, odgrywa i będzie odgrywała coraz większą rolę, jednakże ujęcia kwantytatywne nie mogą być jedyną drogą badawczą, lecz winny stanowić mniej lub bardziej ważne narzędzie wśród różnych umiejętności badawczych historyka; natomiast brak umiejętności posługiwania się liczbą nie dyskwalifikuje go wprawdzie, ale jest brakiem jednej z istotnych umiejętności badawczych. W żadnym wypadku nie można jej uznawać za zaletę historyka jako humanisty".**

## PLASTYKA

# SZTUKA JEST PYTANIEM

### Rozmowa z JERZYM TRELIŃSKIM

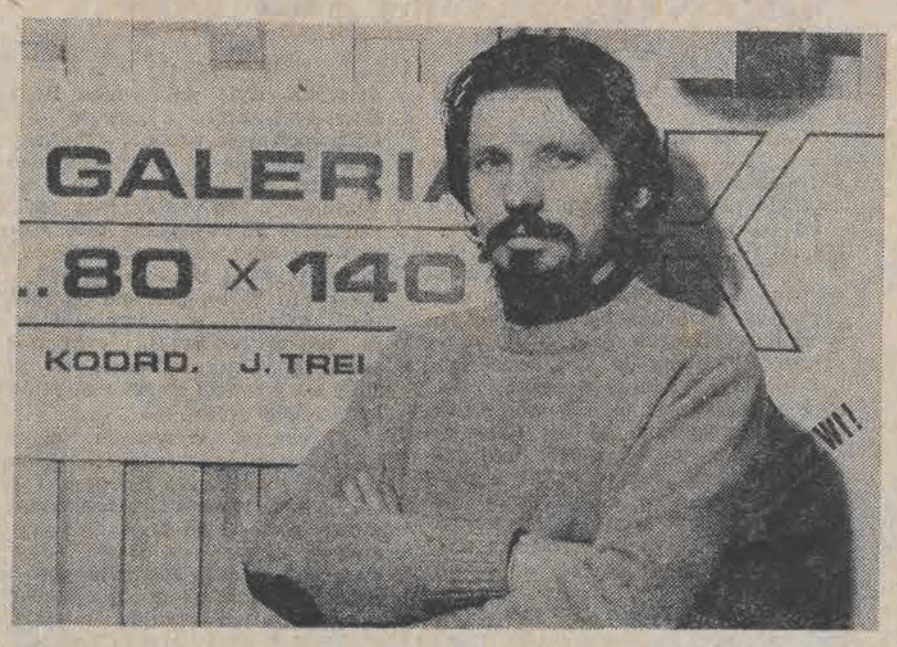


**Jerzy Treliński — niegdyś malarz, potem grafik i plakacista. Adiunkt w Katedrze Grafiki na Wydziale Malarstwa i Grafiki PWSSP w Łodzi. W latach 1971—1979 założyciel i animator kontrowersyjnej galerii nowej sztuki, prowadzonej w Klubie Plastyków. Laureat wielu nagród, m.in. I nagrody na Międzynarodowym Triennale Rysunku we Wrocławiu w 1971 r., nagrody krytyki na ogólnopolskiej wystawie grafiki w Warszawie w 1976 r., nagrody Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Zagrzebiu, przyznanej na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Lubljanie w 1979 r. Z okazji dużej wystawy prac w Ośrodku Propagandy Sztuki, rozmawiamy z autorem.**

**— Był pan malarzem z dużą — jak się to mówiło przyszłością. Jako grafik osiągnął też pan mierzone nagrodami sukcesy. Dzisiaj jest pan jednak jako plastyk tylko twórcą użytkowym — plakacistą, projektantem druków itd. Czy nie jest to ucieczka przed odpowiedzialnością i ryzykiem, z jakimi wiąże się tworzenie materialnych dzieł sztuki, które weryfikuje nie tylko zmienna publiczność na wystawie, ale i bliższa lub dalsza historia?**

— Proszę pana, ryzyka — zwłaszcza w sztuce — ja się nie bałem nigdy i dobrze pan o tym wie. Zarzuciłem uprawianie malarstwa i grafiki artystycznej w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, z dwóch powodów. Po pierwsze: z niedosytu, po drugie: z ciekawości. Niedosyt bierze się u mnie z potrzeby każdorazowego możliwie najsilniejszego przeżycia przy podejmowaniu pracy nad nowym dziełem. U początku mego działania w sztuce każdy następny obraz, każdy nowy cykl graficzny, bardzo mnie podniecał, emocjonował, dawał iluzję wielkiej przygody, odkrycia. Pewnego dnia — a było to w roku 1971 — zdałem sobie nagle sprawę, że jestem o krok od rutyny, samozadowolenia, „zawodowstwa".

**— Ale przecież był pan wówczas u szczytu sukcesów graficznych. Grafiki z cyklu szpitalnego, które zresztą pokazuje pan na obecnej wystawie, są wstrząsającym w swej lapidarności opisem bezradności, cierpienia, klęski; grafiki z cyklu „Kabuki" dowodzą perfekcyjnego mistrzostwa rysunku, zmierzającego do czystości, harmonii, pogrążenia się w bieli. Zazdroszczono wówczas panu tej umiejętności tworzenia form wizualnych prawie na granicy absolutnej bieli. Muzea nowoczesne w Polsce, Hiszpanii, Brazylii, Jugosławii, zakupywały te prace z satysfakcją, krytycy widzieli w panu kontynuatora grupy „a. r.". Było to więc zawodowstwo, ale dobrej próby, dające regularne zakupy prac, miejsce w muzeum, splendory w recenzjach i opracowaniach krytycznych....**

— i prostą drogą w prospericie do emerytury. Dla mnie zawodowstwo to już powtarzanie raz wypracowanych osiągnięć, raz przeżytych emocji, raz podjętych doświadczeń. Zaczynałem się łapać na tym, że pracując nad kolejną grafiką nie mam już uczucia mierzenia się z czymś nowym i że nie mogę w tę pracę włożyć całego swego niepokoju, zaangażowania się, napięcia wewnętrznego. Myślałem, że idąc po tej drodze tworzenia coraz bardziej lapidarnych obrazów i coraz bardziej nasyconych bielą, będę musiał zrobić obraz cały biały, bez jakiejkolwiek ingerencji kreski, punktu, bez śladu innego koloru. A to już zrobili przede mną inni, choćby Francuz Yves Kleyn. Nie chciałem niczego powtarzać, a chciałem nadal uprawianie sztuki przeżywać mocno.

W taki to sposób zacząłem eksperymentować ze sztuką pojęciową, czy konceptualną, jeśli pan woli..

**— Zaczął pan od happeningów?**

— Nie, happeningi były później, to znaczy trochę później, bo w 1972 r. W 1970—1971 r. przeżywałem pewien kryzys, nazwijmy to, postawy, odczuwając jak gdyby podświadomie potrzebę zwierzenia się publicznego ze swoich pomysłów, które nie prowadziły do konkretnych materialnych dzieł, które w ogóle nie były plastyką. Pomyślałem wówczas, że po odrzuceniu tworzywa, jakim posługuje się artysta przy tworzeniu materialnego dzieła, zostaje postawa — owa potencjalna gotowość twórcza, która stanowi warunek bycia artystą. Przecież gotowość twórcza prześladuje artystę permanentnie, bez względu na to, co z niej wynika. Może by więc uczynić z niej cel, przynajmniej raz. Czyli „wystawić" pod osąd publiczny nie obrazy, grafiki itd. ale moją subiektywną potrzebę bycia artystą, moją gotowość.

**— I ta gotowość ma być czymś w rodzaju poezji bez tekstu, intelektualną prowokacją, zachętą do zdziwienia?**

— Zdziwienie jest tą reakcją odbiorcy, do której powinien tęsknić każdy artysta. Jeśli więc osiągałem u mych odbiorców zdziwienie, to już bardzo dużo...

**— Tak, bo często reakcja osób stykających się z działaniem prowadzonej przez pana galerii „80 razy 140" była raczej gorsza. Wzruszanie ramionami, pukanie się w czoło, epitety, pytania po co potrzebne i komu służy opatrywanie schodów zielokrotnionymi napisami „schody", a drzwi podobną tautologią napisu „drzwi". Pana znajomi, koledzy mówili nawet, że marnuje pan czas na jałowe intelektualne zabawy, zamiast pracować i doskonalić swój talent plastyczny.**

— Ależ ja pracowałem jak zawsze bardzo dużo. Robiłem plakaty, projekty wydawnictw książkowych, opracowywałem znaki graficzne. To wszystko zostało ku pożytkowi publicznemu wydrukowane, wdrożone, upowszechnione, czy jak pan tam jeszcze chce. Jednocześnie pracowałem i pracuję zresztą nadal, z zapałem, jako dydaktyk w PWSSP. Nawet z sukcesami, skoro w 1977 r. otrzymałem nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za szczególne osiągnięcia w dziedzinie dydaktyczno-wychowawczej. Tak więc z praktycznej strony życia nie można mi tak wiele zarzucić. Natomiast prowadzenie Galerii „80 razy 140" było moją pracą całkowicie „po godzinach" — zajęciem czysto społecznym.

**— Była przecież ta galeria tylko tablicą informacyjną o wymiarach 80 na 140 cm. Dla ludzi nawykłych do tego, że słowo „galeria" oznacza salon ze ścianami, planszami, zastawkami, na których można wieszać obrazy, grafiki, tkaniny itp., pańska galeria wydawała się czymś niestosownym.**

— A przecież przez 8 lat jej istnienia wryła się dobrze w świadomość bywalców Klubu Plastyków, skoro dziś po rocznym już zawieszeniu działalności, tylu ludzi wypytuje mnie, kiedy znowu coś zademonstruję. Coś, co sprowokuje do przemyślenia problemów pozornie prostych — będących jednak najgłębszymi zagadkami naszego życia. Myślę, że ludziom brakuje może nie tyle mojej deski z informacjami, co fermentu intelektualnego i artystycznego. Brakuje zwykłego niepokoju, który mobilizuje do przewartościowań, do odmiennego spojrzenia na zjawiska najprostsze. To — śmiem przypuszczać — dawała im działalność mojej galerii i prezentacje sztuki pojęciowej.

**— Były wszakże w pańskim działaniu również prezentacje publiczne, plenerowe, wśród audytorium masowego. Czy dały one panu satysfakcję osobistą, że było to właśnie to najgłębsze przeżycie artystyczne?**

— Tak, to było przeżycie głębokie i podniecające, przynajmniej dla mnie. Myślę, jednak, że i w świadomości wielu ich obserwatorów, czy uczestników, tamte publiczne akcje nowej sztuki, pozostały głęboko. Choćby „mandatowanie" zademonstrowane przeze mnie i Andrzeja Pierzgalskiego w 1972 r. w Koszalinie, z okazji odbywającego się wówczas 10 Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

**— Co to było?**

— Wyszliśmy z prostego faktu. Nawet banalnego, jak pan woli. Silnik samochodowy podczas kilkusetkilometrowej podróży zużywa tyle tlenu, ile wystarczyłoby dla jednego człowieka na cały rok. Samochody zabierają nam tlen, który przyroda nie zawsze jest już w stanie równie szybko uzupełnić, a ludzie kupują samochody, jeżdżą nawet dla krótkotrwałej wygody tych kilka kilometrów, które można przejść dla zdrowia własnego i innych. Poprosiliśmy więc o współpracę Komendę Milicji Obywatelskiej w Koszalinie, otrzymaliśmy druki mandatów, w rubryce „za wykroczenie przeciwko" napisaliśmy: NATURALNEMU ŚRODOWISKU CZŁOWIEKA i 200 takich ulotek zatknęliśmy za wycieraczki parkujących na ulicach Koszalina samochodów.

**— I to wszystko?**

— Wszystko, po co więcej? W naszym skomplikowanych czasach poezja tkwi w działaniu najprostszym. Myśleć najprościej jest najtrudniej. Umieją to tylko dzieci. Pomysł „mandatowania" był właśnie takim „dziecinnym" spojrzeniem na rzeczywistość.

**— Łodzianie pamiętają pana z pochodu pierwszomajowego w 1974 r. kiedy przemaszerował pan przed trybuną honorową z transparentem z wielkim napisem TRELIŃSKI. Wywołało to wówczas coś w rodzaju sensacji, fotoreporterzy pokazywali pańskie zdjęcie z pochodu jako curiosum. Oglądałem te zdjęcia w Galerii „80 razy 140". Sylwetka samotnego uczestnika pochodu z wielkim transparentem prezentuje się nawet romantycznie.**

— Bo było to też takie romantyczne podkreślenie istnienia jednostki wśród masy. To był też powód tego mojego gestu. Ale w gruncie rzeczy chciałem znaleźć dodatkowe uzasadnienie dla przemarszu w tradycyjnym pochodzie. Każdy uczestnik takiej masowej manifestacji ma swoją tożsamość, osobowość, swoje nazwisko, jest kimś. To chciałem udowodnić swoim gestem. Naiwnym, jeśli pan woli.

**— W Galerii „80 razy 140" umieszczał pan dokumentację z owych akcji, wystąpień, demonstracji itd. Również innych twórców zajmujących się sztuką pojęciową.**

— To była także współpraca, wzajemne pomaganie sobie, inspirowanie. Najdłużej pracowaliśmy razem z Andrzejem Pierzgalskim — psychologiem, który tryskał istnymi kaskadami pomysłów. Współpracowałem też z Edwardem Łazikowskim, Tadeuszem Piechurą, Czesławem Wojciechowskim. A także krócej z Ryszardem Brylskim, Arkadiuszem Drapińskim, Mariuszem Łukawskim, Markiem Wagnerem.

**— A twórcy zagraniczni?**

— Tylko dwa razy udało mi się sprowadzić dokumentację twórców sztuki pojęciowej z zagranicy. Były to prezentacje „Listów do przyjaciół" Włocha Guglielmo Achile Cavellini oraz Volfa Vostella — twórcy niezwykłych happeningów. Udało mi się wydać małe katalogi ich działalności.

**— Czy żałuje pan, że Galeria „80 razy 140" przestała istnieć"?**

— Nie, nie żałuję niczego. Przestała istnieć ze względów finansowych, ale zrobiła przez 8 lat swoje To się liczy i z tego się cieszę jako człowiek sztuki.

**— To brzmi nawet ładnie, ale czym według pana jest sztuka?**

— Ja nie mam na to żadnej definicji. Nie ma jej i większość twórców. Kiedyś rozdaliśmy z Andrzejem Pierzgalskim ankietę wśród bywalców Klubu Plastyków z jednym pytaniem „co to jest sztuka?". Na 80 osób odpowiedziały tylko cztery. Ich odpowiedzi też nie były precyzyjne, bo i nie mogły być.

**— Ale artysta, twórca sztuki musi sobie na to pytanie odpowiadać co dzień. Czym więc dzisiaj jest dla pana sztuka?**

— Jest pytaniem bez odpowiedzi, jest odpowiedzią bez pytania. Kiedy miałem 20 lat, odpowiadałem na to pytanie lekko, tak samo, jak lekko je zadawałem. Dzisiaj mam 40 lat i stać mnie tylko na tyle, bo przeżyłem dwa razy więcej. Reszta jest przyszłością. Może wówczas będę wiedział jeszcze mniej.

**Rozmawiał:**
**GUSTAW ROMANOWSKI**

TADEUSZ GICGIER

# CAŁY ETAT

1.

Zaczęło się od połowy etatu. Liczyłem wtedy dwadzieścia pięć wiosen i przede mną było lato życia. A także pierwsze lato w Łódzkiej Rozgłośni.

Był to rok 1953. Pracę w Redakcji Literackiej zaproponowała mi Zofia Petersowa, pełniąca wówczas funkcję kierownika Działu Artystycznego. Znana tłumaczka, uczestnicząca czynnie w życiu Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, którego zarząd rekomendował mnie jako członka Koła Młodych. Miałem za sobą pierwsze felietony i pierwsze audycje poetyckie na łódzkiej antenie, a w związku poznałem się z Tadeuszem Szewerą, kierownikiem Redakcji Literackiej w Radio.

Działo się to, jak pamiętam, w okresie szczególnym, zwanym dziś okresem schematyzmu. Do tego dochodziła radiowa dyscyplina.

Po paru miesiącach pracy załamałem się i postanowiłem zrezygnować. Złożyłem wymówienie. I wtedy pani Zofia zaprosiła mnie do siebie na kawę. Mieszkała tak jak ja, w Domu Literatów przy ul. Żeromskiego 21. Kiedy do niej zaszedłem, był tam już Tadeusz Szewera, również mieszkaniec tego domu. Kawa była z przystawką, to jest z koniakiem. Po paru kieliszkach mój nastrój wyraźnie się poprawił, a rozliczne wątpliwości co do pracy w Radio zaczęły maleć i ustępować. Skończyło się tak, że nazajutrz wycofałem wymówienie i przeszedłem na cały etat.

Redakcja rozrastała się. Zaczęła w niej pracować, zatrzymując się na jakiś czas w swej wędrówce po Polsce, Alicja Maciejowska. Potem przyszedł do nas, opuściwszy Wytwórnię Filmów Oświatowych, Wacław Biliński, autor świeżo wydanej książki *„Szósta bateria"*.

Stanowiliśmy zgrany kolektyw. Praca stawała się coraz trudniejsza. Było coraz więcej audycji. A te ambitniejsze, usiłujące ingerować w ówczesne sprawy, były kwestionowane przez dyrekcję. Niezależnie od tego, kto był autorem audycji, na dyskusję szliśmy całą czwórką. Tak zmasowanym działaniem udawało nam się często audycję wybronić. Przeżywaliśmy to mocno i, naturalną rzeczy koleją, każde takie „zwycięstwo" trzeba było odpowiednio uczcić. Szliśmy więc razem na obiad, który przeciągał się czasem do kolacji.

2.

Tadeusz Szewera to postać nader rodzajowa. Nosił już wtedy charakterystyczne wąsiki, a było to na długo przedtem, nim moda ta zawładnęła męskim rodem. Można go śmiało nazwać prekursorem wąsów. Był także prekursorem radiowego reportażu. Pisywał reportaże literackie, które weszły potem do książki *„O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta"*. Ów tytuł zbioru stał się dla mnie pretekstem do napisania następującej fraszki:

*Ponoć, gdy reporterskie sumował podboje,*
*pisząc o wąsach Reymonta —*
*miał na myśli swoje.*

Przez jakiś czas pracowała z nami młodziutka Romana Mater, obecnie reżyser i jeden z filarów Rozgłośni. Odpisywała wówczas na listy dzieciom. Była pracownicą Redakcji Dziecięcej, którą kierowała Janina Krzywopiszyna, drobna, stylowa pani, odnosząca się do wszystkich ogromnie serdecznie. Kogo tylko mogła, przyciągała do współpracy ze swą redakcją. Pisywała dla niej autorka powieści młodzieżowych, Zofia Lorentz, pisywał poeta i satyryk, Igor Sikirycki. W tej „orbicie" przyciągania" znalazłem się również i ja — napisałem wówczas cykl fraszek szkolnych, które obecnie, po latach stały się trzonem zbiorku zatytułowanego *„Zwierciadełka"*.

Ale przede wszystkim pisywało się dla rodzimej redakcji. Utworzyliśmy z Tadeuszem Szewerą i Wojciechem Drygasem tercet autorski, który powołał do życia satyryczną audycję *„Pegaz pod gazem"*. Powstawała ona w dość specyficznych warunkach. Mieliśmy wtedy ciasne mieszkania (ja na przykład mieszkałem sublokatorsko z rodziną w jednym pokoju) — i dlatego spotykaliśmy się w kawiarni. Upodobaliśmy sobie „Grandkę", a właściwie jej skrzydło z obitymi malinowym pluszem kanapami. Ileż tam było uciechy przy pisaniu każdego kolejnego „Pegaza"! Nie wiem, jak odbierali nasz produkt słuchacze — my bawiliśmy się znakomicie. A trzeba tu dodać, że nasza audycja była oparta na humorze irracjonalnym, purnonsensie, co stanowiło na ówczesne lata przedsięwzięcie śmiałe i ryzykowne.

3.

Mieliśmy też grono różnych współpracowników. Wtedy właśnie zaczął pisywać swoje *„Baśnie z tysiąca i drugiej nocy"* Edward Siekowski, dyrektor Biblioteki Wojewódzkiej. Jego cykl audycji szedł nieprzerwanie przez parę ładnych lat. Cieszył się dużą popularnością. Było to zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że autor transponował dawne wschodnie motywy na nasze stosunki współczesne.

Z drugim współpracownikiem, Ryszardem Dorobą, zacząłem pisywać łódzkie szopki. Braliśmy „na warsztat" znane postaci z kręgu literackiego i kulturalnego i wkładaliśmy w ich usta rozmaite ucieszne śpiewy. Pamiętam, że w pierwszej szopce wystąpił znakomity poeta, Marian Piechal, który właśnie wybierał się w podróż do Paryża. Śpiewał na melodię popularnego „Górala" piosenkę, zaczynającą się od słów: *„Piechalu, czy ci nie żal odjeżdżać od stron ojczystych..."*. W którejś z następnych szopek, w roku 1960, znaleźli się obok siebie znani filmowcy, plastycy, literaci i dyrektorzy instytucji kulturalnych, a także osoby postronne.

Czym jednak byłyby nasze szopki, gdyby tej radiowej zabawy nie podjął z nami Tadeusz Markowski? Nazwałem go *„Pierwszym Reżyserem w moim życiu"*, a on z właściwym sobie humorem zaakceptował ten przydomek. Kto nie widział Tadeusza Markowskiego „w akcji", nigdy nie wyobrazi sobie tego teatru, który powstawał na naszych oczach. Pan Tadeusz „podrzucał" aktorom nie tylko interpretację tekstu, ale i głosy bohaterów szopki, ba, jednym gestem, ruchem lub skrótem ruchu w te postaci się wcielał. Kiedy szopka była już gotowa, a następowało to przeważnie w przeddzień sylwestra, szliśmy z Tadeuszem Markowskim do „Zacisza", niedużej knajki znajdującej się na trasie do Radia. Tu odbywało się oblanie „dzieła", no i tradycyjne pożegnanie starego roku.

*Tadeusz Gicgier: — Jestem łodzianinem, mam duży sentyment do rodzinnego miasta.*
*Foto: R. Łucyszyn*

4.

Jestem łodzianinem, mam duży sentyment do rodzinnego miasta, a już szczególnie do jego burzliwych i dramatycznych dziejów. Nie bez znaczenia jest to, że z tymi dziejami związali swoje życie moi przodkowie i krewni, a wśród nich — Józef Gicgier, mój pradziadek, uczestnik powstania styczniowego, który spoczywa wraz z innymi towarzyszami walki na zarzewskim cmentarzu, i Bolesław Gicgier, mój stryjeczny dziadek, uczestnik Rewolucji 1905 roku, pochowany na cmentarzu na Dołach, w Alei Zasłużonych. Kiedy więc wiosną 1955 roku jeszcze za życia stryjecznego dziadka, przygotowywano obchody pięćdziesiątej rocznicy rewolucji, zabrałem się z miejsca do opracowania audycji zatytułowanej *„Bezimienna pieśń"* Została ona nadana 15 maja 1955 roku w programie ogólnopolskim i poprzedzona oddzielnym anonsem w tygodniku *„Radio i Świat"*. Autor anonsu, występujący pod kryptonimem S. B., pisał m. in.:

*„Rozgłośnia Łódzka przygotowała interesującą i oryginalną audycję słowno-muzyczną, która jest pięknym hołdem, złożonym bojownikom walki rewolucyjnej 1905 roku. Należał się ten hołd od robotniczej Łodzi pamiętającej tak wiele epizodów tej walki: zakończonych strzelaniną pochodów, dramatycznych strajków, aresztowań i zsyłek... Wśród zachowanych pamiątek są słowa i melodie pieśni. Większość ich jest bezimienna, czasami tylko czyjeś nazwisko ktoś zapisał lub zapamiętał"*.

*Krystyna Błaszczyk przy radiowych magnetofonach*
*Foto: R. Łucyszyn*

5.

Wszystko to, z czym jesteśmy związani, w tym również miasto, nabiera całkiem innych wymiarów, gdy się od niego oddalamy. Miałem tego doświadczyć w roku 1968, kiedy wyjechałem do Białegostoku, aby przez parę lat kierować Redakcją Literacką tamtejszej rozgłośni. Do tematu tego jeszcze powrócę. Znacznie wcześniej, bo w roku 1956, pojechałem na tzw. staż radiowy do Rozgłośni Krakowskiej. Ta forma kontaktów między kolegami z różnych rozgłośni, nosząca niezbyt zachęcającą nazwę, miała swoje uroki i dobre strony.

W Krakowie przyjęli mnie bardzo gościnnie starsi i bardziej doświadczeni koledzy: Władysław Błachut, Józef Andrzej Frasik i Jacek Stwora. Zapytali, gdzie i w jakich warunkach zamieszkałem, jakie teatry chciałbym odwiedzić w Krakowie, no i, rzecz jasna, czego pragnę dowiedzieć się od nich o ich pracy i jakich audycji posłuchać? Prowadziłem wówczas dział poezji i satyry, poprosiłem więc o parę audycji z tego zakresu. Wśród udostępnionych mi taśm znalazło się kilka z nagranymi audycjami wchodzącymi do cyku *„Dawni poeci Krakowa"*, których wysłuchałem z dużym zainteresowaniem.

Kiedy powróciłem do Łodzi, zacząłem rozmyślać nad powołaniem u nas podobnego cyklu. Bo chociaż Łódź nie ma tak dawnych i bogatych tradycji literackich, to przecież sięgają one ubiegłego wieku, a wielu poetów tworzących w tamtych czasach i później zostało prawie doszczętnie zapomnianych. W takich to okolicznościach narodził się cykl audycji *„Zapomniani poeci Łodzi"*, który był emitowany na łódzkiej antenie w latach 1956—1958. Audycje te poświęcone były m. in. życiu i twórczości Artura Gliszczyńskiego, Tadeusza Micińskiego, Aleksandra Mogilnickiego, Jana Nepomucena Millera, Zofii Wojnarowskiej, Konstantego Dobrzyńskiego, Aleksandra Kraśniańskiego, Marii Przedborskiej, Kazimierza Sowińskiego, Tadeusza Sarneckiego, Witolda Wandurskiego i Mieczysława Brauna. Niedawno trafił do moich rąk wybór poezji tego ostatniego autora, wydany w roku 1979 w nowej PIW-owskiej serii *„Oficyna Poetów XX wieku"*. Godzi się odnotować, że Rozgłośnia Łódzka przypomniała Mieczysława Brauna już w roku 1957, a więc w piętnaście lat po jego tragicznej śmierci.

Następny cykl audycji nosił tytuł *„Łódź w gawędzie — wierszu — piosence"* i był już mego własnego pomysłu. Zapraszałem do studia starych łodzian, pamiętających dawne czasy i dawne łódzkie obyczaje, zaś audycję inkrustowałem dobranymi do tematu wierszami i piosenkami Cykl ten był zachowany w archiwum Łódzkiej Rozgłośni, jednakże po mym wyjeździe do Białegostoku, o czym myślę nie bez żalu, uległ skasowaniu.

Fakt ten, jak sądzę, wpłynął w pewnym stopniu na to, że kiedy po „okresie białostockim" znalazłem się na powrót w Łodzi, uruchomiłem cykl audycji *„Studio nad Łódką"*, poświęcony poszczególnym łódzkim dzielnicom, ich przeszłości i dniu dzisiejszym. Powstało tych audycji dziewiętnaście, a były one nadawane zarówno w programie łódzkim, jak i w programie III ogólnopolskim. Równolegle zacząłem nagrywać audycje do cyklu *„Sagi łódzkie"*, traktujące o zasiedziałych w Łodzi rodach, ich dawnych i obecnych przedstawicielach, i to zarówno z kręgu robotniczego, jak i inteligenckiego. Wyszukuję przy tym rodziny, które odegrały w życiu społecznym i kulturalnym miasta pewną konstruktywną rolę.

Ale to już czasy najnowsze. Chciałbym jednak wrócić jeszcze myślą do początku lat sześćdziesiątych, kiedy to ruszyłem w teren, odwiedzałem różne miasta, miasteczka, osady i nagrywałem audycję *„Podróże bliższe i dalsze"*. Interesowali mnie przede wszystkim ciekawi ludzie, różnego typu społecznicy, zbieracze, regionaliści. Cóż to za kopalnia materiałów! Nie obyło się przy tym i bez rozmaitych przygód reporterskich. Tak np. po audycji *„O wolborskim chrzanie, kasztelańskiej przeszłości i mniej świetnej teraźniejszości"*, w której ukazałem działalność społeczników Wolborza i trudne warunki ich pracy, do Łódzkiej Rozgłośni nadszedł list z Gromadzkiej Rady Narodowej w Wolborzu. GRN zapytywała w swym liście:

*„Czy można oskarżać władze gromadzkie o utrudnianie rozwoju działalności społecznej słysząc jednostronne naświetlenie sprawy przez „wielkich męczenników wolborskich"? Czy pisząc reportaż o Wolborzu nie należało skontaktować się z władzami gromadzkimi...? Jeżeli Polskie Radio nie przeprowadzi na miejscu konfrontacji i jeżeli nie zamieści odpowiedniego sprostowania w swoim programie, zmuszeni będziemy powiadomić o zaistniałym incydencie Komitet Wojewódzki PZPR oraz wystąpić na drogę sądową przeciwko autorowi reportażu"*.

A pointa tej sprawy? Jest ona pointą optymistyczną. Nie stawałem przed sądem, natomiast, jak mi wiadomo, po rozpatrzeniu incydentu przez władze nadrzędne, autorzy listu otrzymali służbową naganę.

6.

Cykl audycji *„Podróże bliższe i dalsze"* stał się zalążkiem mego zbioru reportaży *„Zaczęło się od legendy"*, który wyszedł w roku 1968. Reportaże nagrywane na Białostocczyźnie zachęciły mnie do dalszego zbierania materiałów w bibliotekach, archiwach, muzeach — i tak narodziła się książka *„O człowieku, któremu wystarczał ogarek"* („Iskry" — 1979). Rozliczne obserwacje terenowe, penetrowanie najrozmaitszych układów i stosunków między ludźmi dały mi asumpt do pisania satyrycznych *„Opowiastek współczesnych"*, które również układają się w książkę. Ale niektóre radiowe nagrania stały się dla mnie bodźcem do pisania wierszy.

Przy okazji nagrań do *„Studia nad Łódką"*, odwiedzając dzielnice Łodzi, natrafiłem na opowieść o dawnych łódzkich majówkach i pewnym zwyczaju, który mnie mocno zaintrygował. Wspomniano przy tym ten zwyczaj w różnych dzielnicach: na Widzewie, na Chojnach, na Zdrowiu. Otóż łodzianie, wybierając się w sobotę „po fajerancie" do podmiejskich lasów, brali ze sobą koc, harmonię, przysłowiowe pół litra i wałówkę, a także — konopny sznurek. Sznurkiem tym ogradzali kawałek lasu i w takim to ogrodzeniu bawili się do następnego niedzielnego wieczora. Ów zwyczaj to temat mego wiersza *„Zagrodnicy"*, który wszedł do zbioru *„Pamięć genetyczna"* (WŁ — 1977).

7.

Gdy po siedmioletniej nieobecności zacząłem znów pracować w Rozgłośni Łódzkiej, kierownikiem Redakcji Literackiej został wkrótce Wiesław Jażdżyński. Kiedyś, przed laty, będąc redaktorem tygodnika „Wieś", zachęcał mnie do wyjazdów w teren Niewiele wtedy z tego wyszło, miałem po prostu za mało dziennikarskiego doświadczenia. Teraz postanowiłem już na własną rękę odwiedzać poznane niegdyś miasteczka i osady, konfrontować ich stan obecny ze stanem sprzed lat. W ten oto sposób powstał cykl audycji *„Szkice do portretów"*, który jest nadawany do dnia dzisiejszego.

Czym byłyby jednak te audycje, gdyby pozbawić je reżyserskiej ręki Romany Mater i muzycznego ucha Ilony Grzesiak, która, nie bacząc na piastowane stanowisko kierownika redakcji, znajduje zawsze czas na to, by przysposobić odpowiednią oprawę muzyczną. Ale to etap końcowy: realizacja audycji, do której teksty przepisuje mi z jednakową zawsze cierpliwością pani Hania Gałczyńska. A koledzy technicy, telepiący się ze mną od lat po drogach i wertepach trzech województw: miejskiego łódzkiego, sieradzkiego i piotrkowskiego? Wymienię tutaj tylko trzech: Stanisława Subczyńskiego Henryka Kapczyńskiego i Janusza Kubsa, a także kierowcę: Józefa Gruchałę. Z nimi jeżdżę najczęściej.

## PROZA

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

# POSZUKIWACZE WRAŻEŃ

Podstarzały tęgi jegomość siedział na ławce i końcem laski grzebał w piasku. Obok niego wypoczywał człowiek w nieokreślonym wieku, o nieokreślonej fizjonomii, niczym też nie zdradzający przynależności społecznej. Jedyną charakterystyczną jego cechą był wygląd suchotnika. Obaj wygrzewali się w jesiennym słońcu. Po jakimś czasie zaczęli pogawędkę.

— *Czym się pan zajmuje?* — zapytał się w trakcie rozmowy chudy.

Tęgi jegomość wydął usta, rozparł się wygodnie.

— *Byłoby o czym mówić, kim jestem, kim byłem. Lecz poznajmy się... Jestem Barnaba* — wypowiedział swoje nazwisko tak, jakby spodziewał się, że olśni nieznajomego. Chuderlawy człeczyna skromnie wymówił swą godność:

— *Knapik.*

— *Knapik? Hm... No tak, byłoby o czym mówić! Czego ja już w życiu nie robiłem? Ho ho ho! W Ameryce miałem fabrykę samochodów, w Colorado.*

— *Gdzie?*

— *W Colorado* — powtórzył Barnaba bez wahania, pieszcząc się tym słowem. — *Zdałem ją na syna. Niech się młody zaprawia. W Brazylii miałem plantację bawełny.*

— *Czy także zdał ją pan na syna?*

— *Nie. Na córkę, kiedy wyszła za mąż za Brazylijczyka. W Anglii jestem udziałowcem wielkich zakładów przemysłu zbrojeniowego.*

— *I dlaczego pan tam nie siedzi?* — zapytał Knapik z pewną dozą niechęci.

— *Nudzę się. Przyjechałem tutaj szukać wrażeń. Czego ja już nie robiłem w życiu! Za młodu byłem poszukiwaczem złota w Klondike, później polowałem na tygrysy w Bengalu, jako prosty robotnik pracowałem w kopalni diamentów w Południowej Afryce, potem zostałem współwłaścicielem tej samej kopalni. Co? To sztuka! Byłem również artystą filmowym w Hollywood. Przez jakiś czas poświęciłem się żegludze i przewoziłem opium z Chin do Europy na własnym statku. Lecz statek rozbił się podczas sztormu, tak, mój panie! rozbił się, a ja jeden wyratowałem się i zostałem wyrzucony na wyspy polinezyjskie, gdzie o mały włos nie zginąłem na stosie, przygotowanym przez tubylców. Coś nieprawdopodobnego, prawda? A wyratowała mnie jedna dzielna Angielka, która nadjechała samochodem i z którą później z wdzięczności się ożeniłem. Muszę nadmienić, że była piękna, młoda i bogata. Przebyliśmy razem prawdziwą epopeję przygód.*

Knapik słuchał z natężeniem.

— *Ale ja pana nudzę moimi przeżyciami, które są ciekawe dla tego, który je przeżywa...*

— *O, przeciwnie!*

— *... a tymczasem pan nie powiedział mi dotąd nic o sobie.*

Knapik poruszył się niespokojnie, po chwili potrząsnął głową.

— *Nie, niestety nie mogę panu nic powiedzieć o sobie.* — Naraz rozejrzał się wokoło podejrzliwie. — *Wiąże mnie tajemnica... Niech się pan o nic nie pyta. Błagam pana! Gdyby pan wiedział, kim jestem, przyniosłoby to panu nieszczęście.*

Barnaba nachylił się zaciekawiony. Nagle Knapik kurczowo złapał go za rękę.

— *Niech pan popatrzy... na to dziecko...*

— *Co panu się stało?* — Barnaba zadygotał. — *Dziecko jak dziecko. I któż to jest ta dziewczynka?*

Przechodziły trzy małe uczennice szkolne. Jedna z nich, blondyneczka z kędzierzawą czuprynką, o fiołkowych oczach, pozostawała w tyle, zbierając kasztany.

— *Widzi pan to cudowne dziecko?* — szeptał Knapik zduszonym gorączkowym głosem. — *To jest moja córeczka.*

— *Dlaczego nie przybiegła do pana?*

— *Cicho... Ona nie wie, że ja jestem jej ojcem. Ja tu umyślnie przyszedłem, aby ją zobaczyć. Codziennie przychodzę. Gdyby pan wiedział, co ja przeżyłem! Żonę moją gangsterzy zamordowali w moich oczach, niemal w moich objęciach, bo była spadkobierczynią wielkiego majątku. Jak ja ją kochałem! Po strasznej walce uratowałem się z rąk prześladowców. Muszę pomścić jej śmierć. To dziecko uratował mój zaufany służący i wywiózł tutaj. Przybyliśmy z daleka, o, z daleka. Lecz ja jestem otoczony szpiegami i dlatego nie mogę się zbliżyć do mojej córki, bo gdybym się zbliżył, sprowadziłbym na nią śmierć.*

Knapik obejrzał się na wszystkie strony ostrożnie. Barnaba także.

— *Cóż za tragiczny splot! Przyznam się, że niczego nie rozumiem* — mówił Barnaba, blady z przejęcia.

— *A ja już niczego więcej nie mogę powiedzieć. Nie mogę. Nie mogę!*

— *No, jeżeli pan nie może, nie nalegam. Ale szkoda.*

— *Muszę już iść* — Knapik podniósł się słaniając.

— *Czy zobaczymy się jeszcze?* — spytał Barnaba, bo sprawa przygodnego znajomego zaciekawiła go prawdziwie.

Umówili się na następny dzień. Niezwykłe i tajemnicze przeżycia zbliżyły ich do siebie.

Knapik był aplikantem sądowym i przybył z Płocka. Barnaba był niższym urzędnikiem w podrzędnym biurze spedycyjnym i nigdy w swoim życiu nie wyjechał z rodzinnego miasta. Co do Knapika jeszcze, to nie miał ani córki ani żony. Miał jakąś leciwą znajomą, która chciałaby się za niego wydać, ale ta znajomość i możność zawarcia przeciętnego małżeństwa nie pociągała Knapika, wydawała mu się zbyt pospolita...

Nareszcie w rozmowie z przypadkowo poznanym Barnabą natrawił na człowieka wyjątkowego, który dzięki swoim bogatym przeżyciom wydał mu się ratowniczym pomostem z szarości życia. To ani Staszek Marciniak, który za każdym widzeniem się męczy go o pożyczenie kilkuset złotych, chociaż nie udało mu się tego dokonać ani razu od pięciu lat ich koleżeństwa, ani sąsiad Dzięgała, który przy każdym spotkaniu stęka na ciężkie czasy i oblicza, ciągle oblicza, że nie może wyżyć, choć pensja jego nie zmieniła się od kilku lat i miał już czas do niej się przyzwyczaić, czy wreszcie jego krewniak, Janek Pachnalski, poszukujący lepszej posady akurat od dziesięciu lat. Tych wszystkich znał już na pamięć i to, co mówili, było nużąco niezmienne. Przy Barnabie ukazał się naraz promień niespospolitości.

Czy który z jego znajomych powiedział kiedy, że był plantatorem bawełny? Żaden. I kto był w Colorado? Nikt nie był. Co-lo-ra-do. Knapik rozkoszował się teraz tą nazwą jak przedtem Barnaba.

Odtąd Knapik spotykał się często z Barnabą, który roztaczał przed nim bajeczne przygody ze swojego wyimaginowanego życia. Knapik natomiast otaczał się nadal tajemniczością. Odurzali się nawzajem. Dopiero w tych wspólnych wmawianych wzajemnie urojeniach odnajdywali ciekawsze życie. Wszystko co było poza tym, zajęcia, codzienność szara i beznadziejna, nie warta była w ich oczach złamanego szeląga.

Jednego razu Knapik odwiedziwszy Barnabę w jego skromnym, dosyć zaniedbanym pokoju, zobaczył plik papierów na stole. Obciążyli Barnabę jakąś pracą jeszcze w pozabiurowych godzinach.

— *Co to jest?* — zapytał Knapik z niepokojem. Plantator bawełny i właściciel fabryki samochodów mógł mieszkać byle jak, lekceważąc dostatek, ale poszukiwacz wrażeń nie mógł zamęczać się przepisywaniem nudnych pozycji handlowych.

Barnaba zakrył skrzętnie a zarazem z godnością papiery i rzekł z uśmiechem:

— *Pan jeszcze nie wie najważniejszej rzeczy. Nie wie pan, kim naprawdę jestem. To że jestem bogaty, to przecież głupstwo. Każdy dureń może być bogaczem. Otóż proszę się dowiedzieć, że rozmawia pan ze słynnym pisarzem i dramaturgiem francuskim, Romain Rollandem, laureatem Nobla.*

Knapik otworzył usta w zdumieniu. Tego się nie spodziewał.

— *Czy pan zna język francuski?* — sprawdzał Barnaba.

— *Nie znam* — zaprzeczył pośpiesznie.

— *Tak też myślałem. Szkoda, bo mógłbym panu przeczytać fragment nowej powieści. Tak, proszę pana, ja pisałem te wszystkie dzieła, które ten pisarz ogłaszał jako swoje. Ja jestem rzeczywistym Romain Rollandem, ja, Barnaba, lecz nikt o tym nie wie. Jak to się stało? Przebywałem przed laty w Paryżu i z nudów zacząłem pisać powieść. Ponieważ jednak nie znałem jeszcze wtedy zbyt dobrze języka francuskiego, bo częściej posługiwałem się angielskim, zaproponowałem znajomemu Francuzowi, żeby on to poprawił i wydał jako swoją powieść. I co pan powie? Książka zdobyła świat. Trudno pojąć satysfakcję, jakiej doznałem, gdy nikt nie wiedział, że to ja jestem autorem książki. O, takich wrażeń nie przeżywa się często! Pozostawiłem mojego znajomego w roli autora, który zbierał hołdy, a sam pisałem powieści po powieści oraz sztuki teatralne, bo to nie robiło mi żadnej różnicy, i nadsyłałem mu powiększając jego sławę. I nadal to czynię, po prostu dla zabawy.*

Knapik był zachwycony. Wiedział, że istnieje taki pisarz, ale nie wiedział, że już od wielu lat nie żyje.

Podczas najbliższego spotkania Knapik zmienił się całkowicie, boleść wykrzywiała mu usta.

— *Co się stało? Czy się pan czym zatruł?*

— *Nie, ja... Otruli moją córeczkę* — oznajmił Knapik grobowym głosem.

Barnaba wstrząsnął się. Tak, to było coś.

— *Chlorkiem potasu* — dodał Knapik i zaczął łkać.

— *Potasem!*

— *W ostatniej chwili doniesiono mi o tym, pobiegłem, przypadłem do niej i wyznałem, że jestem jej ojcem. Gdyby pan widział tę radość dziecka, które odnajduje ojca! Błogi uśmiech rozjaśnił jej twarzyczkę, zeszpeconą boleściami otrucia, rączki zarzuciła mi na szyję...*

Następnego razu Knapik był ponury i prawie straszliwy. Z początku mówił z roztargnieniem o najobojętniejszych wydarzeniach z wczorajszego dnia, lecz mówił tak, że to właśnie ścinało krew w żyłach Barnaby. Wreszcie Knapik uczynił okropne wyznanie:

— *Zamordowałem... Pomściłem śmierć mojego dziecięcia. Wczoraj wieczorem...*

Barnabie ciarki przeszły po plecach.

— *O której godzinie?* — zapytał, aby coś powiedzieć.

— *O ósmej...*

Naraz Barnaba przypomniał sobie, że Knapik z początku opowiadał co innego: Poprzedniego wieczoru przyszli do niego koledzy i grał z nimi w karty aż do nocy. Nawet wygrał sto złotych. To trochę popsuło Barnabie nastrój. Ale ostatecznie Knapik mógł nie pamiętać dokładnie, czy wczoraj dokonał morderstwa, czy przedwczoraj.

„*Człowiek zawsze powinien pamiętać, co powiedział*" — ukuł sobie aforyzm.

Od tego dnia zbrodnie mnożyły się w życiu Knapika i do tego najbardziej wymyślone, tak że Barnaba nie mógł nadążyć nawet ze swoją wyobraźnią. Jego opowieści przybladły.

Nareszcie pewnego dnia, chcąc poprawić swoją reputację, opowiedział tak porywającą i nieprawdopodobną przygodę z własnych przeżyć, że powinien był porwać Knapika. Lecz aplikant sądowy rzekł ponuro:

— *Wczoraj byłem w kinie na „Talizmanie szczęścia".*

Barnaba pobladł lekko, prędko jednak nadrobił miną.

— *Właśnie i ja byłem i chciałem pana namówić, żeby pan zobaczył ten film, który był po prostu żywym odbiciem moich przeżyć. Tak, drogi przyjacielu, życie stwarza tak niezwykłe komplikacje, że nie dorównuje im najśmielsza fantazja.*

— *Tylko nie każdemu* — mruknął żałośnie Knapik, ale ucieszył się, że urojenia ich były uratowane.

Tymczasem zaszła bardzo zwykła okoliczność. Knapik jednego dnia zachorował ciężko. Widać było, że już po nim. Barnaba odwiedzał go często.

— *Dostałem dzisiaj list od siostry ze Szwajcarii* — mówił Knapik gasnącym głosem — *że za kilka dni przyjedzie po mnie. Zapowiedziała, że zabierze mnie... do Szwajcarii. Mimo że się trochę źle czuję, mogę odbyć podróż. Pojadę sypialnym wagonem... albo samolotem...*

— *Tak, lepiej samolotem.*

— *... a tam, w sanatorium... pod dobrą opieką... wrócę do zdrowia...*

Barnaba przekonał się, że jego miliardy, nawet gdyby były rzeczywiste, nic by w tym wypadku nie pomogły. Nie zawahał się jednak ze swojej skromnej pensji kupić bardzo drogi syrop, który przez dwa dni sprawił ulgę choremu. Po dwóch dniach Knapik najzwyczajniej umarł.

Wracając sam do domu, Barnaba pokiwał smutnie głową:

— *Życie jest jednak prawdziwsze, niż nam się to wydawało.*

## POEZJA

STEFAN PASTUSZEWSKI

### SŁOWNIK UMARŁYCH

w umarłych nie umarłość
lecz tylko spokojność
oni wiedzą nie wiedząc
że jak byli będą
ich garnek potrzaskany w różnych miejscach i czasach
ale garnek
ich ogień zatrzaśnięty w węglu syna
ale ogień
to samo jest z ich twarzą z ich ręką i nogą
są twarzą ręką nogą tylko w zapomnieniu
umarli wierzą nie wierząc
że ktoś ich odczyta
po drugiej stronie każdego słowa

* * *

Danka mi mówi:
nie bądź głupi
opowiem ci lepiej o tym co dzisiaj kupowałam
i gdzie byłam
a ja chcę wiedzieć czy nasza miłość
przetrzyma zimę
życie
czy tam też będą ogrody zielone
i młodość w wybuchu
Danka mi mówi
całą dłonią i wargami:
jestem

### NA WIOSENNYM STOLE

ta rzeka nie wylała tego roku
nie trzeba naprawiać mostu
ani zgarniać pianę gęsi z wody pola
ale trzeba zaorać przeciw śmierci
i wykrochmalić wszystkie obrusy prześcieradła
na wielkanoc
trzeba się obudzić w zieloność
i mówić w jaskrawość
trzeba trzymać się tej miłości
każdą chwilą
trzeba kochać do końca każdego słowa i milczenia
nawet bólu
a wtedy żagiel błękitu
niebo zimna nieskończoność
stanie się tak mały
że nie wiem czy starczy jego
na serwetę lub bieżnik

MIROSŁAWA MARINOW

### SWOBODNY ZAPIS NA LEŻĄCO

Materia przeprasza obumierających we śnie
materia jest dobra, ona gładzi
wyszukane miejsca i ona jedna godzi się
na życie, we dwoje (poza tobą samą).
Materia cię otacza i wypełnia do ostatka każdej minuty.
To ona zamyka ci usta i pęcznieje w szwach,
rysunek wypełniony do ostatniej kropli nitki.
I nie odchodź w samotne powietrze,
ona cię tam właśnie oczekuje, by wytrysnąć bulwą,
wiele pamiętającą i zapomnianą.
Gdy opadniesz, nikt cię nie podniesie i ruszysz znowu
pchając węzeł sukna pęczniejącego na nasypach.
Cóż z tego, że kości śpiewać będą o igliwiach nocy,
strzelającej na wskroś przestrzeni, ona cię zepchnie
pod twe własne nogi i uda, że o niczym nie wie.
Głód jest śmiertelny, cierpienie jest bezbolesne,
jest tylko unieruchomieniem w bryle zamkniętej ziemi.
Strumienie milczą, ptaki nie odleciały, lecz
bezwładne leżą, wydając nieziemski zapach
dawno zapomnianego lotu
(krew krąży w ściekach).

JÓZEF KRUPIŃSKI

### KOLORY

I.

W czerni
stałem się
prawie ślepcem
i barwy
tłumaczę językiem roślin.

Niektóre skały
mają kolor żyta w dojrzewaniu
niektóre —
są jak pszenica i jęczmienie.

Wiele minerałów pod ziemią
jest jak piernik
w miasteczku kujawskim
na odpuście od matki.

2.

Barwy
czytam przez przymiarki
i porównywanie.

Napotykam skały
koloru
ciasta z powidłami
na wigilię w Skarbanowie
i skały o kolorze
mąki razowej
Opoki
na pozór nieugięte
mają barwę kobiet kujawskich.

3.

W czerni
że można mylić
kolor kwiatów czereśni
z kolorem jabłoni
czuję mowę łąk.

W dymach kominów i hałd
trawa tam
jest jak bielizna
przed zielonymi świątkami.

# GROSZ ZA DWIEŚCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

— *Ile to ma kosztować?*
— *Czternaście.*
— *Sporo* — mówi potencjalny kupiec, lat pięćdziesiąt, na oko majętny. I, wykonując nerwowy ruch ręką, dodaje: — *Wciśnij pan Warszawę! Słuchać wolno, ale nie można uprawiać propagandy!*
— *Tak, tak!* — zgadza się właściciel.

Muzyka.

Potem, kiedy potencjalny kupiec odchodzi, znowu słychać zatroskany głos, i gdzieś z ciżby wyłania się inny potencjalny nabywca.

Pławią się w tłuszczu kiełbasy na polowych kuchniach: porcja — dwadzieścia, podobnie zresztą jak duży, wyłowiony z wiadra ogórek. Owe stoiska barowe spotkasz tutaj na każdym kroku. No i lody Bambino, lody! wyprodukowane gdzieś w podbrzezińskiej chałupie, dziesięć złotych sztuka, półrozpuszczone, owinięte byle jak w pergamin, wyciągane z wnętrza drewnianej, białej skrzynki brudną, szponiastą kończyną sprzedawcy.

Złoto i tombak do dwóch tysięcy za gram. Kobiecinie, obok której skromnie stoi syn, potrzebne akurat dwie obrączki.

— *Kupię* — powiada zatroskana kobiecina — *ale musi pan pokazać dowód, żebym mogła pana spisać i w razie czego...*

— *Jezu, jaki naród niewierzący!* — wrzeszczy dotknięty do żywego handlarz złotem. — *Czy my już naprawdę musimy być dla siebie psami, Polacy!* — I szperając w kieszeniach, wzdycha: — *Zapomniałem dowodu* — A kiedy kobieta chce odejść, łapie ją za łokieć i nawija: — *Ale mój kolega pokaże pani dowód. Józek!!!*

— *Co mi po dowodzie jakiegoś tam Józka?*

— *Jak to, co? My robimy w tej samej firmie... O! Józuś! Pokaż szanownej pani dowód, w razie czego, to od niego; robimy na spółkę, czyli, jak to się mówi, chodzimy w dyszlu, ciągnąc po wyboistych drogach wspólny wóz.*

Kobiecina, prawie przekonana, bo to cena przystępna, a ślub za pasem, odwraca się do niejakiego Józka, czterdziestoletniego łazęgi, którego lewe oko lśni pijacką melancholią, a prawe, podeszłe krwią, wypłynęło w jakiejś bijatyce, i mówi:

— *No, to gdzie ten dowód?*

— *A tu!* — rzecze Józuś, podtykając do wglądu starą, umorusaną legitymację uczniowską.

Skórzane kurtki po dziesięć—dwanaście, płaszcze — po czternaście—siedemnaście, kożuchy (vide — ewidentnie spartolone, źle wyprawione, krzywo zeszyte) po trzydzieści — czterdzieści pięć.

Obok psy, bez rodowodów, ale z szansą na światowy medal. Warczą, skaczą, ujadają, tarmoszą się na kolczatkach, albo popiskują, malusieńkie, w walizkach. Rozpiętość cen ogromna, biorąc pod uwagę, iż jest rzeczywiście kilka rasowych sztuk, z chartem afgańskim na czele.

Dalej gołębie i gołębiarze, przede wszystkim z okolic podłódzkich. Sto trzydzieści złotych za samicę, sto dziesięć za samca. Dużo fachowych sporów i dyskusji:

— *Co mnie pan tu będziesz wpuszczał w maliny, że samiec, humor mnie chcesz pan popsuć?! Kompel oglądał, a jest znawca, i powiada: samica, możesz śmiało brać: samica!*

— *Samiec!* — powiada obiektywny obserwator, co to nie kupi, nie sprzeda, a trzy grosze wtrąci. — *A ten pański kompel to troszeczkę słaby znawca.*

I tak dalej. Wszystko możesz tu kupić, wszystko sprzedać. Tyle, że wspomniane towary i buble powinny być po prostu w sklepach, a nie na tym targowisku, pośród szczerych chłopskich pól, pośród chat i sądów owocowych, w miejscu, o którym nie mają pojęcia nawet najstarsi łodzianie, bo to przecież do niedawna było hen! poza rogatkami Łodzi, gdzieś tam na granicach Nowosolnej...

Dojazd, to osobne zagadnienie. Kolebiesz się najpierw tramwajem albo zatłoczonym autobusem do skrzyżowania Strykowskiej z Brzezińską, a tam musisz zapolować na inny autobus. MPK pomyślało jednak również o bezpośrednich połączenia śródmieścia z tym, jakże ważnym w naszym życiu, targowiskiem — oto linia specjalna z konduktorami, opłata pięć złotych od pały, bo przecież tylko pała zakuta da się nabrać na te numery: ludziska płacą wierząc, że skrzypiący grat dowiezie ich na samo miejsce, a tu nagle stop, figasa dalej możecie iść pieszo, więc zaczyna się regularna awantura:

— *Oszustwo!*
— *Bandytyzm!*
— *Pan sam jest bandyta!* — odcina się krótko konduktor z załogi autobusu o rejestracji LDA 415 X, który wystawił pasażerów do wiatru w sobotę, 19 lipca 1980 r., o godzinie 12.22. Kierowca wtóruje mu lekko zawstydzonym, ale szczęśliwym uśmiechem.

Handlujący tłum, ożywiony nadzieją zrobienia jakiegoś dobrego interesu, rusza dalej pieszo, w tumanach kurzu, w zaduchu spalin, pośród nie kończącego się strumienia samochodów brnących z uporem do celu z szybkością pięciu kilometrów na godzinę. Tu i ówdzie zatory — wycie klaksonów, przekleństwa. I tak aż do skrzyżowania Brzezińskiej ze Zjazdową, w którą należy skręcić, aby zobaczyć po chwili, na łagodnym ale wyraźnym wzniesieniu, przywodzącym na myśl geograficzny skraj świata, owo wielotysięczne ludzkie mrowie.

Nim jednak dobrniesz tam, krztusząc się od kurzu, nim kupisz garść pinesek za pięć złotych, „Ojca Chrzestnego" za pięćset, albo jakąś, skradzioną wcześniej, część do małego fiata, możesz zobaczyć jak przeobraża się ta, senna dotychczas i ustronna okolica. Auta, z braku parkingów, wjeżdżają na podwórka, na wypielęgnowane trawniki przed domkami, w rowy, w pola, w żyto, w truskawki, w krzaki, gdzie tylko skrawek wolnej przestrzeni, choćby to były nawet schody, już tam sterczy jeden obok drugiego, samochód, motocykl, rower...

Część mieszkańców Nowosolnej złorzeczy:

— *Targowisko zabrało nam spokój, zatruło atmosferę; nawet w kwiaty wjeżdżają, kradną truskawki, niedojrzałe wiśnie, śmiecą, hałasują, straszą bydło i kury, parzą się w życie, sromota, kompletnie pijani!*

Część znowu wyraża aprobatę:

— *Coś nareszcie zaczęło się dziać! Człowiek czuje, że przynajmniej w sobotę i w niedzielę mieszka w prawdziwym mieście. Dzieciaki i młodzież przez cały tydzień czekają teraz, na te dwa dni, bo to im zastępuje kino, wesołe miasteczko i cyrk, których tu nigdy nie było.*

*Foto: W. Parys*

Jedni upatrują w targowisku interes dla Nowosolnej, drudzy klęskę. Fakt przecież, że takiego bazaru to jeszcze w Łodzi nie było — zmotoryzowani milionerzy obok chłopów, przekrój wszystkich warstw społecznych, konglomerat najróżniejszych obyczajów, asortyment produktów od kurzego jajka do szczytowych wykwitów kultury — książek, płyt, reprodukcji wybitnych malarzy... Prezerwatywy szwedzkie, model polskiego okrętu wojennego, sprzedawana ukradkiem pornografia, wędki, spinningi, francuski szampan, jugosłowiańskie winiaki. Łata zatem targowisko dziury w handlu uspołecznionym, wyręczając sklepy, gdzie personel ziewa jak dzień długi, odpowiadając nachalnym klientom: — *Nie ma! Nie ma!*

Tu wszystko się znajdzie. Nie od razu, to za tydzień. Ci z Koluszek umawiają się z brzeziniakami, piotrkowianie z łodzianami. Na dostawę mięsa, węgla, ziemniaków, szlachetnego drewna, cegieł, wystroju do nowobogackich willi...

Dyrektor Antoni Szram miał rację. Na jednym ze stoisk można kupić piękne, kute w miedzi i brązie, bogato zdobione klamki, zamki, okienne pokrętła zrabowane swego czasu z opuszczonych, źle zabezpieczonych mieszkań w starych, secesyjnych kamienicach śródmieścia.

Filatelistyka, stare monety, poczciwy maleńki polski grosz, wspomnienie dzieciństwa: cukierek kiedyś za to kupiłeś, grałeś tym w cymbergaja na wysłużonych ławkach powojennych polskich szkół.

— *Ile?* — pytasz.
— *Dwa złote.*

Czyli dwieście, dwieście groszy za grosz, interes równie znakomity, co wymowny. Ufarbowane, odpowiednio podskubane wróble udają skowronki. Stłoczone w klatkach króliki nie mają już siły udawać nikogo: kilka dogorywa w duszności, patrząc przekrwionymi oczyma w ziemię, kontemplując swój żałosny los.

Tymczasem na poboczach rynku, z tyłkiem na polu, z nogami spuszczonymi w rów, liczna gawiedź zaprawia się piwem — piknikują całe rodziny, cygańskie i polskie, ba! nawet owa śniada hinduska czereda, stojąca do niedawna na rynku wokół radzieckiej maszyny do szycia, którą usiłowała sprzedać za dziewięć i pół tysiąca złotych, nie znając przy tym ani słowa po polsku i posługując się w targach pismem rysunkowym, owa czereda (czy aby na pewno hinduska?) wali się w konieczynę, wyciągając zza pazuchy flachę i torebkę pomidorów.

Nie mam zamiaru czepiać się targowiska. Jest, to jest, widocznie musi być! I nie różni się znowu tak bardzo od innych targowisk, które oglądałem i w socjalistycznym Uzbekistanie, w zacofanej Brazylii i kwitnącej Francji. Wszędzie to charakterystyczne bogactwo ludzkich typów i ten niesłychany asortyment towarów, wszędzie tłoczno od wozów i aut, wszędzie obok cwanych — naiwni, obok okazji — szachrajstwo, wszędzie znajdzie się pijaczek i złodziej.

Można nawet bez ryzyka powiedzieć, że ten ostatni, łódzki — niełódzki bazar, ujęty jest w pewne ramy porządku, bo to i plac wymurowany, i prowizoryczne ustępy, i solidne tablice, na których wypisano czarno na białym, ile kto musi zapłacić za prawo sprzedaży hurtowej z wozu, a ile za sprzedaż detaliczną ze straganu, ile za płyty, a ile za masło i jaja.

Żywioł przecież reguluje ten porządek.

Wspólnik pyta sprzedawcę kiełbasy:

— *Ile dałeś szmaciarzowi?*
— *Sto dwadzieścia.*
— *To jak przyjdzie jeszcze raz, powiedz, żeby cię pocałował w rant!*

I oto zbliża się jeden z inkasentów, potrafiący momentalnie wyłowić z tłumu każdego świeżo przybyłego handlarza. Namierza kiełbaśnika, który widocznie jest mu winien z jakiegoś tytułu parę złotych. Słysząc, że dostał już swoje i że może go najwyżej pocałować w rant, uśmiecha się pobłażliwie i wyciągając rękę mówi szeptem kilka sympatycznych słów.

I kiełbasiarz płaci.

Jedne samochody odjeżdżają, na ich miejsce zjawiają się inne. Milicjanci dyrygują ruchem na dojazdowych ulicach, patrole na motocyklach krążą dookoła placu; tłok nie zmniejsza się bynajmniej po południu — do ataku rusza druga zmiana tych, co akurat skończyli pracę w swoich urzędach i fabrykach. Niektórzy po śrubki, niektórzy po złoto. Jedni mają sto złotych w kieszeni, inni sto tysięcy.

W niedzielę, kiedy bazar przeistacza się w giełdę ssamochodów, tłum na placu nie jest wcale mniejszy, zaś stawki w grze sięgają sum, o których szary śmiertelnik może sobie najwyżej pomarzyć.

A wszystko to dzieje się w Nowosolnej, na obrzeżach Łodzi, zakątku, który jeszcze do niedawna przypominał sielską, spokojną wieś.

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

# CHCĘ, BY TRAKTOWANO

*Marian Słobiński: — Coraz bardziej wydłuża się droga od producenta do sklepu*

*Foto: R. Łucyszyn*

Dalszy ciąg ze str. 1

— Sporo czytam, uczę się, śledzę wszystkie nowinki. Nie mogę przecież dać się zaskoczyć klientowi, który częstokroć wie więcej ode mnie.

**— Mówił pan, że pańska praca sprowadza się jedynie do sprzedaży. Czyżby sklep był tylko placówką przekaźnikową pomiędzy magazynem a kupującym?**

— I tak i nie. Nasze czynności, oprócz handlowych, sprowadzają się do tych samych, które może wykonać kupujący u siebie w domu kręcąc pokrętłami i strojąc odbiornik. Ale my potrafimy bezbłędnie wyregulować każde radio czy telewizor, wyłapać każdy feler choć nie zaglądamy do wnętrza skrzynki. Niestety, nie każdy posiadacz odbiornika to potrafi.

**— Jak pan trafił na Zarzewską?**

— Początkowo pracowałem jako uczeń w sklepie spożywczym, potem, po ZSH — trafiłem do sklepu fotograficznego jako sprzedawca, stamtąd przeniosłem się do „Uniwersalu" i sprzedawałem sprzęt fotograficzny, aż zostałem przeniesiony na stoisko radiowo-telewizyjne. Któregoś dnia przyszedłem tutaj po przewód antenowy, bo u nas nie było. Ówczesny kierownik Mirosław Wojech pyta mnie czy chcę u niego pracować. Czemu nie? I w ten sposób znalazłem się na Zarzewskiej 8.

**— Kiedy to było?**

— Cztery lata temu, a od roku jestem tu kierownikiem, bo pan Wojech przeniósł się do sklepu meblowego na plac Kościelny.

**— Jaki był ten sklep cztery lata wstecz?**

— Trwał niekończący się remont, który, na dobrą sprawę, nie został jeszcze zakończony. Ciągle coś jest nie tak, czegoś brakuje, coś uzupełniamy, poprawiamy.

**— Więc jednak zmiana?**

— O, tak. Przedtem sprzedawano nie od ulicy, lecz z bramy, nie było tych ogromnych okien wystawowych, nie było kabiny przesłuchań.

**— Czy to pan wpadł na pomysł z tą kabiną?**

— Nie, przymiarki były wcześniej, ale żaden z kierowników istniejących w Łodzi sklepów nie chciał jej u siebie. W tamtych czasach najwięcej uwagi poświęcano magazynom, bo ten, kto chciał wykonywać plany, musiał zgromadzić sobie towar we własnym magazynie. Tu także, w dzisiejszej kabinie, mieścił się skład pustych opakowań po radioodbiornikach i telewizorach.

**— A gdzie teraz pan przechowuje te opakowania?**

— Po remoncie zrobiliśmy specjalne podwieszenie u sufitu, takie wiczące półki i tam teraz są te opakowania. Tym samym zyskaliśmy więcej miejsca na zapleczu.

**— Dlaczego kabina przesłuchań znalazła się właśnie na Zarzewskiej?**

— Skoro nikt jej nie chciał, szyb-

## WSPOMNIENIA

BOLESŁAW WOJEWÓDZKI

# OD TEGO CZASU NAZYWALI MNIE POETĄ

Działo się to w 1923 roku na Gustku, przedmieściu Tomaszowa Mazowieckiego, w Szkole Powszechnej nr 15. Jej kierownikiem był wówczas Jan Piotrowski. Zginął w czasie wojny w obozie. Bohaterami tej opowieści są: Józef Pomykała — zmarł na gruźlicę jeszcze przed wojną, Bolesław Mołojec — później żołnierz walczący w Hiszpanii, działacz PPR, Celina Zięba — po mężu Szymańska. I ja — niżej podpisany.

**A oto i sama opowieść o tym, jak zaczęto nazywać mnie poetą.**

O potrzebie wydawania szkolnego pisemka mówiliśmy od dawna. Kierownik Piotrowski — zarazem nasz wychowawca — powiedział wreszcie to, na co od dawna czekaliśmy:

**— Poszperajcie, gdzie się da. Podyskutujcie. Opracujcie plan. A ja przedstawię go Radzie Pedagogicznej i Komitetowi Rodzicielskiemu. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.**

Józek i Bolek potraktowali zadanie najpoważniej. Ich rodzice, komuniści, którym nieobca była „bibuła", przyklasnęli przedsięwzięciu.

Bolek odwołał mnie któregoś dnia za hałdę żużlu i powiedział:

**— Próbowałem w partyjnej drukarence. Nielegalnej. Nie chcą narażać szkoły. Nic z tego.**

— A co powiedział drukarz Pruski?

**— To nie dla nas. Za drogo. W klasie jest nas szesnastu. Wypadnie na każdego po pięć złotych. Nie damy rady. Nie stać nas na to. Musimy szukać czegoś innego.**

W domu zastałem wujka Tomasza, stolarza, starego działacza z PPS-Lewicy. Podzieliłem się z nim swoimi kłopotami. Poradził mi:

**— Wystarajcie się o płytką, blaszaną brytfankę. Wymiary papieru kancelaryjnego. Niech ojciec Celiny wykombinuje kawałek blachy i każe blacharzowi Rejmanowi zrobić brytfankę. Postaracie się o wosk pszczeli, wytopiony na słońcu. Ule ma ojciec Stefy. Tusz podaruje wam pan Kazimierz Kucharski. Ja dam wam wałek obciągnięty gumą. Teksty musicie już napisać sami.**

Długo nie mogłem zasnąć. Teraz trzeba szybko działać — powtarzałem w myśli. Sięgnąłem po brulion i ołówek. W pokoju było widno, bo lampa uliczna oświetlała pokój. Zacząłem zapisywać tematy. Rodził się projekt pisma.

W tydzień później Józek powiedział:

**— Słowo się rzekło. „Naszym Głosem" uczcimy Pierwszy Maja!**

Kierownik, „zabity pepesiak" ze starej, robotniczej rodziny, był w siódmym niebie. Zachwycał się tekstami. Rada Pedagogiczna i Komitet Rodzicielski ocenili nasz materiał „na piątkę".

Przychodziliśmy teraz do szkoły z podkrążonymi oczyma. Celince było z tym nawet do twarzy. Józek podobny był do śmierci na chorągwi. Bolek jak wymoczek. Ja też nie wyglądałem lepiej. Przechodziłem właśnie mutację. Dojrzewałem płciowo. Celina budziła coraz żywsze moje zainteresowanie.

Józek był najstarszy. Miał siedemnaście lat. Podobny był do czeladnika ślusarskiego, bo jego ubranie było wyświechtane. Chorował na gruźlicę. Był bardzo pobudliwy. Celina go się bała. Moja matka mówiła kiedyś do swej kuzynki, że Józka utrzymuje jakaś dziewczyna, rok starsza od niego. Pracuje w fabryce dywanów. Józek często u niej sypia. Plotki, nie plotki, co nas to obchodziło. Józek był „fajny", miał dobre serce, miał ideę. Nawet nie spostrzegliśmy się, jak Józek stał się głównym redaktorem.

**— Zaczynaj ty! Czytaj swoje** — powiedział Józek do mnie. Zaczerwieniłem się, ręce mi się trzęsły. Zacząłem czytać krótkie opowiadanie o powstańcu z 1863 roku, związanym i rzuconym na kupę świeżego, śmierdzącego nawozu. Krwawiące rany powstańca obsiadły muchy. Siedzący opodal rosyjski żołnierz popijał z manierki wódkę. Nucił smętną pieśń. Więzień umierał.

— To jest opowieść mojej babci. Prawdziwa — powiedziałem, kiedy skończyłem czytać. I dodałem: — Ja to „upiększyłem".

**— Diabli ci w tym pomagali** — skomentował Józek.

Potem recytowałem swój wiersz pod tytułem „Wiosna". Nie został po nim ślad. Matka zniszczyła go wraz z innymi moimi „papierami" podczas okupacji. Przypominam sobie jednak, że mowa tam była o wiośnie, która wybierała sobie na bluzki i sukienki żółte, czerwone i fioletowe sukno z rozchodników, że gwałtownik i obrazoburca trzmiel siadał na kwiatach, jak na szalkach wag, że spocone osy nurkowały z górnych pięter lasu, chłodząc się wachlarzykami skrzydeł w cienistej alkowie, piły nektar z dzbanuszków konwalii, że słowik wdychał melodie jaśminowymi haustami. Wiosennej pieśni wydzwaniały rytm konwalie i trzmiele buczące jak basy.

Celina westchnęła tylko: **— Jakie to piękne...**

Celina napisała reportaż. Dała tytuł „W garkuchni". Pokazała los trzech rodzin, bezrobotnych, niezaradnych, trapionych pasmem nieszczęść. Słuchaliśmy jak urzeczeni. Bolek dwukrotnie ocierał łzy kułakami.

**— Świetne, świetne!** — wykrzyknęliśmy zgodnym chórem, jak skończyła.

Bolek przedstawił losy murarzy pracujących przy rozbudowie Tomaszowskiej Fabryki Sztucznego Jedwabiu. Murarze rozmawiali o pijaństwie, chorobach społecznych, losie dzieci i starców, o stanie sanitarnym miasta, itp.

Józek przedstawił grupę chłopców w moim wieku. Sześciu uczniów szkoły morskiej, praktykujących na dalekomorskim statku. Zarabiają na siebie. Mają kłopoty. Dążą do zmiany. Chcą, aby im było lepiej. Są szlachetni.

Podobało nam się to.

**— A teraz będziemy dyskutowali** — powiedział Józek. — **Kto pierwszy?**

— Jesteś najstarszy z nas — zacząłem. — Masz dużo doświadczeń. Dużo czytasz Mogę ci tylko pogratulować.

**— Ale czy wszystko to, co napisaliśmy, będzie zrozumiałe dla naszych kolegów!** — zastanowiła się Celina.

To redakcyjne posiedzenie zjednoczyło nas. Drobiazgi, jak: porady, komunikaty, notki, kącik rozrywkowy — podzielimy między siebie. Wypróbowaliśmy hektograf, jego zmywanie po odbiciu każdej stronicy. Wykonaliśmy „rygi", „leniuszki" dla równego prowadzenia pisma i utrzymania estetyki.

Bolek i Celina mieli piątki z kaligrafii. Więc zgodzili się pisać. Józek i ja czuwaliśmy nad prawidłowym odbiciem tekstów. Hektograficzna produkcja zmuszała nas do jednostronnego wykorzystywania papieru. Planowaliśmy, aby w „Naszym Głosie" wszystko było **„mucha nie siada, komar nie kuca".**

Nakład „Naszego Głosu" wynosił trzydzieści sześć egzemplarzy: szesnaście dla klasy, sześć dla nauczycieli, sześć dla Komitetu Rodzicielskiego, dwa do akt szkoły, sześć dla władz szkolnych i administracyjnych. Pismo było bogato ilustrowane. Ela wykonywała rysunki. Każdy numer miał płócienny grzbiecik, przeszyty kolorową nicią. Numery dla nauczycieli i Komitetu Rodzicielskiego miały dedykacje.

Nasze utwory podpisywaliśmy kryptonimami, skład redakcji pełnymi imionami i nazwiskami.

Pismo ukazało się na 1 maja 1923 roku. Odbiło się głośnym echem wśród szkół Tomaszowa Mazowieckiego. Od tego czasu nazywali mnie poetą.

## POLEMIKI

# ODPISUJĄC NA LISTY, KOCHAJMY ŚLIMAKI I NIETOPERZE

„Ćwiek" w felietonie „Ślimaki i nietoperze" („Odgłosy" z dn. 20.07. 1980 r., nr 29/1180) ma za złe Wandzie Rutkiewicz, iż zgodziła się uczestniczyć w ekspedycji himalajskiej pod warunkiem, „że w razie sukcesu nie będzie ona publikować reportaży ani książek w zachodniej Europie". Ma do niej żal, iż nie zdobyła się na „gest dużego poczucia godności" pod postacią odrzucenia zaproszenia.

Kierowanie się racjami rozsądku jest na pewno lepsze niż uczuciami, acz niewątpliwie mniej romantyczne. Po pierwsze, czy warunek niepublikowania wspomnień w Europie zachodniej jest naprawdę ciężki? Nie. Przecież nasza wspaniała sportsmenka może publikować w pozostałych rejonach świata, o ile ma talent narratorski. To sprawą naszych wydawnictw jest, aby jej wypowiedzi zostały opublikowane szybko, nie tylko w języku polskim, i aby dotarły gdzie należy. Skoro zaś organizatorzy wzmiankowej wyprawy zastrzegli sobie prawo wyłączności druku materiałów, to mieli ku temu racje, przede wszystkim ekonomiczne. Wszak wyprawa himalajska to nie tylko wysiłek sportowy, ale przede wszystkim sprawa organizacji, zaopatrzenia i transportu: wszystko to kosztuje słono, w dewizach. Czy Wanda Rutkiewicz mogła wyjechać na koszt macierzystego klubu? Gdyby mogła, to by na pewno uczestniczyła w wyprawie polskiej, być może z dokooptowaniem Francuzów i Niemców, i być może również pod warunkiem zachowania praw wyłączności druku po stronie polskiej. A jeśli uzyskała pomoc finansową ze strony organizatorów, to jest jasne, że pomocy takiej musiały towarzyszyć pewne warunki. Wierzę, iż nasza himalaistka ma wysokie poczucie godności — bez którego nie sposób byłoby zdobyć się na hart ducha niezbędny do zdobycia Mount Everestu — i że w związku z tym warunki, jakie jej zaproponowano, nie były znów tak uwłaczające honorowi.

Szlachetne gesty czynić można, owszem, ale tylko wówczas, gdy są one przejawem siły; inaczej stają się śmieszne. Wydaje się, że z alternatywy: zdobyć Mount Everest i milczeć o tym (na Zachodzie) lub uczynić pusty gest, niczego nie zdobyć, a w zamian biadolić przez lata, wybierać należy to pierwsze. I to nie tylko w sporcie! Jeszcze raz więc brawo dla Wandy Rutkiewicz za hart ducha, nadludzki wysiłek sportowy i „męskie" decyzje.

Jeśli zaś trzeba mieć do kogoś żal, to właśnie do Ministerstwa Łączności, które przedkłada muchę tse-tse nad geniusz ludzi, urodzonych nad Wisłą, co słusznie wytyka Zbigniew Święch w „Polityce", nie znajdując uznania w oczach Ćwieka. A szkoda!

Szkoda, że felietonista „Odgłosów" nie ma za złe ministrowi oraz Ministerstwu Łączności, że nie odpisują na listy. „Wolałbym, żeby nasz minister zajął się ważniejszymi sprawami — a jest wiele, czekających na załatwienie". Spraw jest rzeczywiście wiele — a może one narosły m.in. właśnie przez to, co umownie nazwać można „nieodpisywaniem na listy", a co jest zwykłym lekceważeniem i sobiepaństwem? Najpierw nie odpisuje się na list jednego obywatela — bo po co, skoro stanowi on znikomy ułamek procentu od 35 milionów? Potem nie odpisuje się, nie odpowiada, nie reaguje na pisma i postulaty organizacji i całych grup społecznych, doprowadzając sytuację do stanu bez wyjścia.

Wydawać się może, że nieodpisanie na list czy pismo nie jest żadnym przestępstwem, a co najwyżej objawem braku wychowania. Tyle, że jeśli brakuje odpowiedzi, to sprawa pozostaje nie załatwiona. Dlatego też KPA nałożył na instytucje i urzędników obowiązek odpowiadania na pisma, i to w ściśle określonym czasie. A mimo to nie odpisują i nie załatwiają — co nie tylko utrudnia życie nam, indywidualnym petentom, ale prowadzi do poważnych strat materialnych: bo instytucje nie odpisują również instytucjom, a jeśli odpisują to zwykle za późno lub wykrętnie; a jeśli już pisemnie coś obiecują, to też niezobowiązująco. Wszak prasa roi się od doniesień o „niesolidności" kooperantów. „Polityka" stara się uzyskać — zagwarantowaną prawem — odpowiedź na swoje interwencyjne artykuły, z imienia wymieniając dłużników. I co? I nic!

Jeśli nie odpisuje na list minister, mający do dyspozycji rozdęty sztab współpracowników, to nie dziwmy się, że nie raczą odpowiadać na interpelacje urzędnicy niższego szczebla.

Dochodzi w końcu do tego, że prasa codzienna drukuje podziękowania ekspedientce, iż była łaskawa poinformować klienta, co znajduje się w metalowej puszce bez nalepki. I tak będzie dopóty, dopóki taż prasa solidaryzować się będzie z ministrem, nie splamionym odpowiedzią na postulat obywatela. I to — o ironio! — z ministrem, kierującym resortem, który organizuje „tydzień pisania listów". Ów tydzień pisania powinien zostać niezwłocznie, od dziś, zastąpiony przez **rok natychmiastowego odpisywania.**

Brak odpowiedzi na list czy pismo, to przejaw niewychowania towarzyskiego i przejaw lekceważenia urzędowego. Jest to jedna z gorszych plag społecznych, ponieważ „psuje krew", demoralizuje, uniemożliwia efektywne działanie, w zarodku dusi potencjalne sukcesy społeczne i indywidualne. Rację ma więc Zbigniew Święch, żądając od Ministerstwa Łączności odpowiedzi na swój dezyderat w sprawie emisji znaczka pocztowego z podobizną Wandy Rutkiewicz oraz wytłumaczenia się z dotychczasowej polityki emisyjnej, pozostawiającej wiele do życzenia.

Jeżeli tego nie będziemy się domagać, jeżeli będziemy godzić się na lekceważenie, to nieraz jeszcze słyszeć będziemy tak drastyczne wypowiedzi, jak epitety od „d" i „p" rzucane przez dyrektora Poznerowicza z ZUGiL w Wieluniu pod adresem redaktor Zofii Turowskiej i ekipy KAW. Sobiepaństwo owego dyrektora też się zapewne zaczynało od „niewinnego i lekkiego" lekceważenia. Czy zaś redaktor Turowska doczeka się odpowiedzi na swój artykuł — który też jest przecież formą listu — pokaże czas.

Tak czy inaczej, sąsiedztwo reportażu Turowskiej z felietonem Ćwieka jest nader symptomatyczne. Brawo Redakcji, że je oba zamieściła, bo „Pan dyrektor i jego strażnik" stanowią tylko nieuniknioną konsekwencję postawy pobłażania, zaprezentowanej w „Ślimakach i nietoperzach". Dodać bowiem należy, że wspomniany w felietonie mgr Paweł Kowalski miał całkowitą rację, zgłaszając w 1967 r. za pośrednictwem „Przekroju" propozycję wypuszczenia serii znaczków, poświęconych polskim ślimakom i nietoperzom. Zapewne nie doczekał się odpowiedzi!

A szkoda, bo i ślimaki i nietoperze pełnią niezastąpione funkcje w przyrodzie. I jedne i drugie należą do coraz rzadszych, coraz bardziej ustępują przed poczynaniami dyrektorów i administratorów, lekceważących sobie dezyderaty o niezbędności ochrony środowiska naturalnego. Bliski już czas, gdy całkiem odejdą „ślimaki i nietoperze" — niech pozostanie po nich przynajmniej kolorowe wspomnienie na znaczku. Już teraz bowiem wielu młodych ludzi, otrzymujących dyplom magistra biologii (!), ani razu nie widziało w życiu żywego nietoperza; a w społeczeństwie wielu jest takich, co nie widziało ani dzika ani buku. Musimy popularyzować wiedzę o przyrodzie i ekologii, jeżeli chcemy tę przyrodę zachować dla dzieci. Musimy to robić każdym sposobem, również przez znaczki pocztowe. Tylko **my** możemy ochronić **naszą** przyrodę, ponieważ nikt inny za nas tego nie zrobi. Kochajmy więc nasze ślimaki i nietoperze — jeśli ich nie stanie, to Ministerstwu Łączności pozostanie już tylko motyw wszędobylskiego szczura na pustyni betonowej, wyścielającego gniazdo dla młodych listami bez odpowiedzi. O ile jeszcze komukolwiek będzie się chciało listy pisać.

**J. STANISŁAW KNYPL**

PS.: Zaś redaktorowi Ćwiekowi należą się gratulacje i słowa uznania za felietony, ostre i trafiające w sedno spraw naprawdę istotnych. Nawet „Ślimaki" godne są uznania, skoro potrafiły wytrącić czytelnika z błogosławionego stanu biernej konsumpcji.

# MNIE POWAŻNIE

ko wyraziłem gotowość na jej zmontowanie u siebie.

**— Czy któryś ze sklepów radiowo-telewizyjnych w Łodzi ma taką kabinę?**

— Żaden. Dlatego tylu ludzi przychodzi do nas kupować.

**— Rozumiem, że jest to nowoczesna kabina do przesłuchań...**

— Niezupełnie. W tej chwili mam tu stół demonstracyjny i kilka kolumn głośnikowych. Zapewniamy kupującym przesłuchanie sprzętu bez zbędnych zakłóceń. Takie przesłuchanie pozwala wychwycić usterki techniczne sprzętu radiowego. Natomiast nie mam jeszcze przyrządów do pomiaru przesuwu nierównomierności taśmy w magnetofonach, obrotów talerza czy też przyrządu do przesłuchu między kanałami w sprzęcie wysokiej klasy.

**— Co może zaoferować kupującym pański sklep w dniu dzisiejszym?**

— Z ciekawszych typów to odbiornik „Radmor", magnetofon „Aria", „Tuner" TSH 110 oraz „Tuner" — TSH 111, szereg kolumn głośnikowych 80-, 40-, 30- i 25-watowych. Ale jest to sprzęt drogi. Z tańszych — jest w zasadzie to wszystko, co znajduje się w obrocie krajowym, tzn. radioodbiorniki popularne, telewizory, sprzęt uzupełniający: kasety, kasety magnetofonowe, przewody połączeniowe, baterie.

**— Czego ludzie poszukują?**

— Kolorowych „Jowiszów".

**— Krąży opinia, że „Jowisze" częściej się psują niż czarno-białe.**

— Nie sądzę. Reklamacje „Jowiszów" dotyczą przede wszystkim zakłóceń w odbiorze, który jest spowodowany nieumiejętną obsługą. W takim przypadku wystarczy jedynie prawidłowa regulacja.

**— Co z usterkami poważniejszymi?**

— Odsyłamy do naszego punktu specjalistycznego na ulicę Zbąszyńską 13 b.

**— A jak wygląda zaopatrzenie?**

— Nie najlepiej. Ludzie poszukują takich typów radioodbiorników i telewizorów, których u mnie bywa bardzo mało lub ich wcale nie otrzymuję. Np. nie mam magnetofonów „Koncert", nie mam dostatecznej ilości kolorowych telewizorów, nie mam tylu kolumn głośnikowych, by zadowolić każdego kupującego, nie mam nawet wszystkich krajowych typów radioodbiorników.

**— Dlaczego tak się dzieje?**

— Sądzę, że coraz bardziej wydłuża się droga od producenta do sklepu.

**— A co chciałby pan sprzedawać?**

— Pragnąłbym mieć na składzie „Arię", nowego „Zodiaka", nową wersję „Radmora". Ale zanim to otrzymamy, niech by były chociaż te wszystkie typy radioodbiorników, które produkuje nasz przemysł. Bo i co z tego, że otrzymam w kwartale 5 sztuk kolorowych „Jowiszów", skoro kolejka przed sklepem sięga do najbliższej przecznicy?

**— Gdy wchodzi się do sklepu ma się wrażenie, że jest w nim bardzo dużo towaru, że półki są zapchane po sam sufit.**

Staram się o zaopatrzenie jak mogę. W naszej branży trzeba ciągle przewidywać, a z hurtowni otrzymuje ten, kto jest pierwszy. O naszej pracy świadczą obroty kasowe: za I kw. 1979 r. obrót wynosił 7.307 tys. zł., natomiast w tym roku w I kw. osiągnęliśmy 13.201 tys. zł.

**— Jacy bywają klienci?**

— To osobna sprawa. Wszyscy my, tu pracujący, jesteśmy młodzi i częstokroć kupujący poddają w wątpliwość naszą wiedzę, doświadczenie, naszą fachowość. Po prostu nie wierzą nam, nie mają zaufania do tego, co mówimy. Dopiero po dłuższej rozmowie zmieniają zdanie.

**— Są scysje?**

— Zdarzają się. Wynika to często z nieznajomości przepisów przez nabywcę. Kiedyś, w zależności od kupionego sprzętu, klient mógł w ciągu 3 lub 10 dni od nabycia, reklamować uszkodzony aparat w sklepie. Teraz przepisy uległy zmianie i zgłoszenia reklamacyjne przyjmują specjalistyczne punkty naprawcze. Jednakże ludzie nie mogą tego zrozumieć. Więc przychodzą do mnie i muszę wysłuchiwać nie tylko uwag o tym, co powinienem robić, ale znoszę nawet obelgi czy wręcz pogróżki.

**— Co jeszcze przeszkadza panu w pracy?**

— Położenie geograficzne sklepu. Znajdujemy się w nie najspokojniejszym rejonie Łodzi, stąd jakże często włamania i kradzieże. Te ostatnie odbywają się w biały dzień, kiedy do sklepu przychodzi sporo ludzi. Dwaj pracownicy nie są w stanie wszystkiego upilnować.

**— Co kradną?**

— Najczęściej obcinają wtyczki do zestawów głośnikowych, wtyczki do odbiorników sieciowych, zabierają nasadki od potencjometrów lub złośliwie wciskają membrany w głośnikach kolumny głośnikowej i taka kolumna za 4.200 zł praktycznie nadaje się na złom.

**— Zamierzenia na najbliższą przyszłość?**

— Planuję zainstalować informatory, takie jak są na dworcach kolejowych i pocztach, z których klienci mogliby się dowiedzieć wszystkiego o typie aparatu, który ich interesuje. Jest to podyktowane tym, że sporo osób przychodzi do nas jedynie po informacje.

**— A jakie ma życzenia kierownik sklepu radiowo-telewizyjnego?**

— W zasadzie mam dwa: jedno, to aby móc zwiększyć ilość personelu, gdyż w tej chwili nie możemy poświęcić zbyt wiele czasu jednemu kupującemu, a drugi — to bardzo chciałbym, aby mnie i cały personel sklepu przeszkolono w zakresie obsługi sprzętu pomiarowego, którym mógłbym każdy odbiornik, przed oddaniem go w ręce klienta, dokładnie sprawdzić. To, że chciałbym mieć taki sprzęt pomiarowy u siebie, jest zrozumiałe samo przez się.

— Dziękuję za rozmowę.

**Rozmawiał:**
**EUGENIUSZ IWANICKI**

# PODZWONNE DLA SMĘTKA

Dokończenie ze str. 1

1.

Pojechałam. W gęstym lesie, niedaleko centrum Olsztyna, Łyna zatacza półkole. Szeroko rozlała brunatną wodę ta rzeka, powstała, jak głosi legenda, z łez rozpaczającej po swym zabitym mężu pięknej Alny. Mętna jest dziś Łyna, zbrukana po ostatnich deszczach. Trzy kajaki na brzegu: „Zbieg", „Włóczęga" i „Wyga". W nich cały nasz dobytek: namioty, śpiwory, żywność. Załoga 6-osobowa, zgrana od lat. Zaczynamy wiosłować, powoli, leniwie. Dzień jest senny, deszcz wisi w powietrzu i tylko ta zieleń dookoła, roślinność wybujała po ostatnich opadach, jak w podzwrotnikowej puszczy. Cisza. Hałasują tylko łabędzie, płynące do swoich młodych, a przecież poruszają się prawie bezszelestnie. Jeszcze jeden ruch wiosła, jeszcze drugi, trzeci.

Przy brzegu trwa bez ruchu wędkarz.

— *Dzień dobry* — pozdrawia nas śpiewnie zaciągając.

— *Dzień dobry* — odpowiadamy.

Gwarzymy o tym i o owym. O tym, że ryby marnie biorą, że łąki zalane i siano gnije, a słońca wcale w tym roku nie widać.

— *Jak daleko do najbliższej wsi?* — pytamy. — *Gdzie najlepsze miejsce na biwak?*

Wędkarz radzi, aby płynąć po fali. Pod wieczór znajdziemy po prawej stronie sosnowy las na wzgórzu. Miejsce suche-doskonałe na spoczynek.

2.

*„W chałupie przyjęto nas na razie nieufnie. Myślę, że do pewnego stopnia powodem było i to, żeśmy mówili po polsku. Inteligent mówiący po polsku w Prusach Wschodnich to jest sprawa jakaś niesamowita i podejrzana"* — pisał w 1935 roku Wańkowicz, płynąc tak, jak my dziś, kajakiem po mazurskich rzekach, tropiąc wytrwale Smętka. Tego Smętka, upamiętnionego przez Żeromskiego czarnego myśliwego, który jak skald przybył na wybrzeże z orszakiem Normanów. Gdziekolwiek się pojawił, niósł trwogę i strach. Bali się go i ludzie, i zwierzęta. Nadali mu więc Smętka imię.

W 1923 roku dziecko, przyłapane w mazurskiej szkole na rozmowie po polsku, karano zawieszeniem na szyi drewnianej tabliczki z szyderczym napisem „Pollach". Małego winowajcę czekała jeszcze chłosta. Unikał jej, jeśli łapał na tym samym patriotycznym przestępstwie kolegę, któremu przekazywał tabliczkę. Zaiste, perfidna to gra, przypominająca tylko z pozoru niewinne dziecięce zabawy.

45 lat temu Tirliporek, córka Melchiora Wańkowicza, wytrwała towarzyszka jego mazurskiej podróży, kupowała w Olsztynie lody za 40 fenigów, a miejscowi przewodnicy wyjaśniali, iż rezydujący tu w latach 1520—21 kanonik Kopernik wytrwale bronił miasta przed atakami Szwedów. Dzwni to byli Szwedzi z czarnymi krzyżami na białych, zakonnych płaszczach. Skuteczna jednak musiała być Kopernikowska obrona, skoro Krzyżacy, po krótkim oblężeniu, wycofali się poza granice biskupstwa. Po Koperniku zachowały się na zamku olsztyńskim tablice astronomiczne, malowane na ścianie, według których miał ustalić wiosenne przesilenie dnia z nocą, izba mieszkalna i sala reprezentacyjna.

Dziś, lody kupuje się w Olsztynie za złotówki, a wielkiemu astronomowi i obrońcy Mazur wdzięczni rodacy wystawili pomnik u podnóża zamku. Aż do końca XIX wieku nie był Olsztyn największym miastem Warmii i Mazur. Dobre Miasto, Lidzbark, czy Braniewo, były o wiele znaczniejsze. Był jednak miastem pulsującym polskością, siedzibą organizacji polonijnych i „Gazety Olsztyńskiej", wydawanej od 1886 roku.

*„Ojców mowy, ojców wiary, brońcie zgodnie, młody, stary"* — nawoływała wspomniana gazeta w marcu 1920 roku. Wołała wytrwale, lecz głosy niemieckie skutecznie ją zagłuszały. Szalał wówczas terror, wzmagały się represje wobec działaczy polonijnych. Pół roku później odbył się pamiętny plebiscyt.

11 lipca 1920 roku, w tym samym letnim miesiącu, w którym płyniemy dziś Łyną, rozstrzygały się losy Warmii i Mazur. Czy był to lipiec upalny, czy deszczowy, jak tegoroczny?

W muzeum na zamku w Olsztynie zwięzłe, suche informacje. Mapa Eugeniusza Romera z 1919 roku informuje o stosunkach narodowościowych na tych ziemiach. I tak w powiecie ełckim ludność polska stanowiła 71 proc. ogółu, w giżyckim — 63,9, w mrągowskim — 72,2, w nidzickim — 80,3, w piskim — 79,1, w szczytnieńskim — 87,9, a w Olsztynie i powiecie — 48 proc. W gablotach plebiscytowe kartki, fragmenty agitacyjnych odezw:

*„Mazury, chcecie stać się Niemcami"*

*„Ludu warmiński, nie śpij"*.

Fotografia na łożu śmierci Bogumiła Linki, działacza narodowego, członka delegacji mazurskiej na konferencję do Paryża, domagającej się przyznania Polsce całych Mazur.

*„Wściekłość Niemców nie miała granic* — pisze Wańkowicz. — *Nasyłano Lince prowokatorów, bandy Grenschutzu, więziono i dopiero na interwencję wypuszczono. Wówczas postanowiono radykalnie się z nim rozprawić. 21 lutego wywlekła bojówka bladego starca z zebrania w Szczytnie, jak barana na rzeź, postawiła pod murem i zatłukła z premedytacją. Kiedy go podniesiono na ulicy, kości miał powyrywane ze stawów, i cały był w zakrzepłej krwi. Ukryto go w mieszkaniu właściciela kawiarni, Zawiślaka. Niemcy domyślali się, że tam się niedobity ukrywa. Pod oknem Zawiślaków były tłumy. Kiedy wpadały rewizje, chowano umierającego do szafy. Ale dłużej tak nie mogło trwać. Nocą, w mróz 20-stopniowy, przewieziono go na cmentarz. Tam go wzięli inni i przewieźli do odległego 2 godziny drogi koleją Olsztyna, gdzie zmarł"*.

Niełatwo było Polakom na Mazurach.

— 3. —

Foto: A. Wach

Wędkarz poradził uczciwie. Niedaleko od jeziora Limajno piękne lasy. Sucho, ciepło. Rozbijamy namioty. Smakowite zapachy dochodzą z kuchni, w której gospodarzy Staszek. Magda z Dorotą zbierają poziomki. „Wujo" czatuje z aparatem fotograficznym w ręku. Jarek, w samotności, patrzy tęsknie na rzekę. Czego w niej szuka?

O szarej godzinie woda przybiera kolor łez. O szarej godzinie opadają nas wspomnienia. O tej porze wychodzą z jezior duchy i strachy. Pełno ich na Mazurach, nie wolno jednak dopuścić do siebie, pozwolić, aby opanowały duszę i zniewoliły serca. Najgorzej mieć do czynienia z kłobukami. Te mazurskie duszki są czasami przychylne ludziom, najczęściej jednak bywają złośliwe, wyrządzają bowiem wiele różnych psot. Ani chybi to one przywiodły nas nazajutrz pod Dobre Miasto, gdzie złapał nas ulewny deszcz. Mało deszcz — grad prawie. Przemoczeni do cna, wyrzucamy wszystko z kajaków w rekordowym tempie. Jak najszybciej dach nad głową, suchy sweter i coś gorącego do picia.

Nad Dobrym Miastem góruje kolegiata z XIV wieku, największy na Mazurach gotycki kościół halowy. Dobre Miasto, faktycznie dobre, gdyż zamożne i zasobne, już w 1329 roku otrzymało prawa miejskie, a jego mieszkańcy — osadnicy ze Śląska — zawdzięczali dostatek browarnictwu, produkcji lnu i handlowi zbożem. Dziś pracują w tartaku, w fabryce maszyn rolniczych, w wytwórni słodyczy i licznych zakładach rzemieślniczych.

Do kajaków podchodzą dzieci.

— *Chodzicie tutaj do szkoły* — pytam.

— *Chodzimy.*

— *A kto was uczy, pan czy pani?*

— *I pan, i pani. Dużo jest panów w szkole* — odpowiadają.

4.

*„W 1804 roku wychodzi prawo, że nie może na Mazurach być nauczycielem ten, kto nie zna dobrze niemieckiego w słowie i piśmie.* — relacjonuje Wańkowicz. — *W 1811 wydano surowy nakaz, by dzieci niemieckie uczyć nie inaczej, niż po niemiecku. W 1812 r. słynną polską szkołę w Ełku, szkołę założoną w 1516 roku, szkołę, w której wykłady zawsze odbywały się po polsku, gdy w szkołach Rzeczypospolitej niepodzielnie panowała łacina, rząd zamienia na szkołę niemiecką. W 1832, niewątpliwie jako echo przegranego powstania, wprowadza się do szkół w Prusach Wschodnich przymusowe 8 godzin niemieckiego. Nie ma komu się bronić. Więc już w 1834 roku język niemiecki wprowadza się jako wykładowy, a polski zostaje jako pomocniczy. I wreszcie od 1878 nauka języka polskiego zostaje usunięta zupełnie."*

Od 1878 roku nie było więc na Mazurach ani jednej polskiej szkoły. Były niewielkie szkółki na Warmii i na ziemi malborskiej, ale na Mazurach ani jednej.

13 kwietnia 1931 roku, po kilkudziesięcioletniej przerwie, w Piasutni zostaje otwarta pierwsza polska szkoła. Nową placówkę obejmuje Jerzy Lanc, młody nauczyciel z Poznańskiego. Doświadczony w pracy na zgermanizowanym terenie, zapalony i odważny, o ujmującym sposobie bycia, nie zraża się lodowatym przyjęciem w Prusach Wschodnich, kiedy to na stacji obrzucono go dosłownie bryłami lodu. Nie ustępuje z powierzonej jego pieczy placówki, choć przez cały rok uczy jedną, tylko jedną uczennicę, w dodatku niedorozwiniętą, bo tylko ją rodzice mają odwagę posłać do polskiej szkoły.

Bryły lodu to był początek. Potem przyszły kamienie, napaści z nożami w ręku, rozprawy sądowe o przewinienia, których Lanc nie popełnił. 1 marca 1932 roku znaleziono Jerzego Lanca martwego w jego własnym pokoju. Przeprowadzone śledztwo i dochodzenia sugerowały, iż polski nauczyciel uległ zaczadzeniu. Wańkowicz doszedł, iż Lanc nigdy pokoju nie ogrzewał. W zezwoleniu na przywóz zwłok do Polski podano, iż przyczyna śmierci niewyjaśniona, prawdopodobnie płuca. Wieść niosła, że Lanca otruto. Pozostały po nim w muzeum olsztyńskim dokumenty, fotografie, wniosek o odznaczenie pośmiertne Orderem Orodzenia Polski i pamięć o nauczycielu-żołnierzu.

Lancowi podobni pracowali w polskich szkołach, organizowali, mimo ogromnych trudności, zespoły teatralne, prowadzili chóry, drużyny harcerskie, działali w Związku Polaków w Niemczech. To Związek ogłosił „Prawdy Polaków" znane na pamięć przez jego członków. Pierwsza z nich brzmiała: *„Jesteśmy Polakami"*, druga — *„Wiara ojców naszych jest wiarą naszych dzieci"*, trzecia — *„Polak Polakowi bratem"*, czwarta — *„Co dzień Polak narodowi służy"*, piąta — *„Polska — matką naszą, nie wolno mówić o matce źle"*.

5.

Płyniemy dalej do Lidzbarka. Nieomal leżąc w kajakach przepływamy pod zwalonymi na rzece pniami drzew. Granatowe ważki migają przy brzegach. Trzy małe bociany wyglądają z wysokiego gniazda na stodole. *„W dalekich ziemiach za to umierali moi ojcowie, za gniazdo bocianie"* — kołacze mi się po głowie poseneczka Brylla. Bociany radośnie trzepoczą skrzydłami na widok powracających rodziców. Gdzie im tam lękać się Smętka.

**MAŁGORZATA GOLICKA**

# ROWY I ROWKI

## TYLKO DLA MAŁO WRAŻLIWYCH

Rowy, letnia rezydencja Łodzi, leżą na mniej więcej dwusetnym kilometrze naszego Wybrzeża i na mierzei między czystym tu jeszcze Bałtykiem a szambem. Skoro padło już to słowo uprzedzam, że poniższy tekst będzie co najmniej obrzydliwy. Osoby wrażliwe proszone są o przesunięcie wzroku na sąsiednie jakże urocze i wonne szpalty. Ci zaś czytelnicy, którzy tego wbrew naszym ostrzeżeniom nie uczynili, niechaj brną z nami w temat tyleż wakacyjny co kanalizacyjny.

Nasi letni reporterzy zajmują się zazwyczaj jedną stroną zagadnienia to znaczy zaopatrzeniem miejsc wczasowych w potrawy i napoje. W Rowach druga strona połączonego naczynia jakim jest wczasowicz daje o sobie znać zewsząd; to jest z powietrza poprzez wonie rozmaite i z ziemi poprzez strugi cieczy przedziwnych oraz źródła leśne o wodach bynajmnie nie krystalicznych. Problemem numer jeden nadmorskiej oazy łodzian, a są tu ośrodki „Skórimpexu", „Wifamy", radiowców i telewizonistów, ba, nawet samego prześwietnego Urzędu Miasta (dominujący nad całością obiekt z wiszącymi balkonami) są ścieki. Rowy nie mają komplementarnego systemu wodociągu i kanalizacji .Już w końcu ubiegłego wieku wymyślił taki system dla Łodzi Samuel Lindley. W Rowach woda owszem, dopływa do tysięcy kranów i kurków, zimna — podgrzewana słabiutkim, oj słabiutkim prądem elektrycznym, dopływa do bojlerów i zmywaczek, spłuczek itd. Ale odpływa do podziemnych zbiorników różnej, przeważnie zbyt małej pojemności, lub też zbiorników rozpraszających ścieki np. po lesie, czy okolicznych łączkach.

Ktoś zapyta w tym miejscu: dlaczego autor nie zajmuje się niewątpliwym osiągnięciem jakim są wczasy? Dlaczego nie chwali akcji zakładowego funduszu socjalnego, a widzi tylko brudy? Autor nie odpowie na to odrazu. On uprzedzał, że będzie grzebał w szambie. On węszy tu niezły pieniądz! Tak niezły, że wszelkie honory i honoraria muszą blednąć i iść skromnie do kąta przy pozycji ludzi, którzy zaprzedali swój czas i swój zapach profesji szambonurka.

Cóż bowiem zabiera sen kierownikom ośrodków wypoczynkowych w Rowach? Przepełnione, wybijające na powierzchnię szamba. A kto ich może uratować? Szambonurek i jego zbiornikowiec zmontowany w łódzkim WUKO; cysterna z długą rurą i pompą która błyskawicznie wybierze co trzeba i wywiezie za Rowy satysfakcjonując się wcale niemałą opłatą. Niemałą?! W sferach ludzi kultury, sztuki i oświaty (Ośrodek Urzędu m. Łodzi) i twórców (radio i TV) sprawa wysokości apanaży nurków szambowych dyskutowana była, wobec braku pogody, bardzo szeroko. Padały przypuszczalne sumy: patyków dziesięć, dwadzieścia... pięćdziesiąt! Nie było zupełnej jasności, czy dziennie czy miesięcznie.

Problem spenetrował głęboko poprzez kilkumiesięczną autopsję pewien kierownik ośrodka, który błagał by nie ujawniać na łamach jego nazwiska. Zemsta szambo-nurków byłaby bowiem straszna i rychło utonąłby w nieczystościach wraz z całym turnusem. Otóż zawód szambonurka czyli człowieka będącego zarazem kierowcą wozu jak i jego jednoosobową obsługą jest zawodem, który w okolicach nadmorskich przewyższa w sezonie swą popularnością rożniaży, smażalników ryb, czy rurkarzy kremowych. Klan szambo-nurków jest hermetyczny. Dostać się w jego szeregi nie sposób. Próby penetracji dziennikarskiej poprzez odpowiednie przebieranie się nie dały efektów. Oni wyczują każdego obcego. Ekskluzywność tego środowiska równa jest (wracamy do rzeczy) poziomowi dochodów.

Oto zamawiający usługę wnosi urzędową opłatę do uspołecznionego przedsiębiorstwa, gdzie szambo-nurek pobiera pensję (którą czniał) ze stosownymi dodatkami za uciążliwość i trudne warunki pracy. Usługa zostaje wpisana w harmonogram, który jest, albo nie jest, realizowany w terminie. Co to znaczy w wypadku drugim potrafimy już sobie wyobrazić: Szambo zaczyna wybijać. Więc zamyka się dopływ wody do umywalni, pryszniców, toalet. Przyziemne potrzeby trzeba załatwiać na łonie przyrody i poza ośrodkami, zaś mycie w morzu. Prośby i groźby nie działają na szambo-nurka od chwili gdy Fenicjanie wynaleźli lepszy sposób porozumienia się stron. Terminowa, lub też przyśpieszona tak zwana expressowa wizyta szambonurka kosztuje więc prywatnie od 300 do 500 zł. Zależnie od ilości kursów, co zależne jest od pojemności zbiorników Ale tu trzeba uważać. Przebiegłość szambo-nurków jest zdumiewająca. Oto napełniając swój samochodowy zbiornik tylko do połowy potrafią tę drugą połowę dopełnić w ośrodku u sąsiada za jednym zamachem załatwiając dwa kursy. A że liczy się od kursu i tu i tu, więc...

Samochody-cysterny pędzą teraz spacerowymi alejami Rowów, roztrącając zziębniętych wczasowiczów, gdzieś hen ku podrowieńskim polom, gdzie tęsknie oczekują na nich rolnicy. Tak to z nadmorskich piaszczystych wydm uzyskuje się wspaniałe warzywa i zboża. A nasz szambo-nurek pobiera kolejną opłatę od cysterny. Dziennie obsługuje kilkanaście ośrodków. Pracuje tylko z przerwą na obiad, którym tego pracowitego człowieka należy podjąć. Tam zaś, gdzie stołówki się nie prowadzi, kierownik zobowiązany jest dać mu dodatkową stówkę na zupkę.

Kiedy zaś nabliższe pola są już dostatecznie użyźnione, o czym przekonuje nas powonienie, a dalsze kursy w rejon wsi Objazda stają się nieekonomiczne (stawka za zbiornik nie równoważy czasu na kurs tam i z powrotem) powiadają ludzie, że wylewa się to wszystko dyskretnie i szybko do jeziora Gardno. Stąd zaś pochodzą sprzedawane po 350 zł za kilogram wędzone sznurowadła nazwane rowieńskimi węgorzami, które każdego rybackiego strażnika wód przyprawiłyby swym wymiarem o zawał serca.

Ech, zostać by szambo-nurkiem — wzdycha niejeden wczasowicz-intelektualista. Choć na jeden sezon! Ale klan szambo-nurków jest ścisły jak sycylijska mafia. Nie każdy może być milionerem! Może bardziej dostępny byłby klan śmieciarzy co to biorą po pięćdziesiąt od puszki? Zarabiać można też na smażeniu śledzi kupowanych od rybaków po 10, a sprzedawanych po 56! Na piwku (zarobek ponad 100 proc. na butelce)! Nawet na aparaturze do mydlanych banieczek. Ale statusowi zarobkowemi i prestiżowi sezonowego nadmorskiego szambo-nurka nikt nie dorówna. W Rowach pieniądz nie śmierdzi. Tylko cała reszta.

**WIESŁAW MACHEJKO**

# TEGO ROKU W KARLOWYCH WARACH

**Dalszy ciąg ze str. 1**

Historia drugiej międzynarodowej kariery tego miejsca jest krótsza. Przed 34 laty po raz pierwszy spotkały się tu filmy i chociaż były one dziełem zaledwie siedmiu kinematografii, przegląd stał się zalążkiem czechosłowackich festiwali filmowych. Dziś karlowarski festiwal jest najważniejszą tego typu imprezą w krajach socjalistycznych, obok festiwalu w Moskwie, z którym organizowany jest na przemian (w Karlowych Warach natomiast co drugi rok odbywa się od niedawno festiwal szkół filmowych).

Wśród międzynarodowych festiwali, karlowarski ma kategorie „A". I chociaż ambicją jego organizatorów nie jest kolekcjonowanie najgłośniejszych tytułów i najsłynniejszych nazwisk, to ma on zwykle gości ze wszystkich kontynentów (w tym roku 40 kinematografii) i — w przeciwieństwie do szeregu innych festiwali — niezmienny od lat cel, zawarty w haśle: **„O szlachetne stosunki między ludźmi, o trwałą przyjaźń między narodami".**

Program XXII Festiwalu, trwającego przez dwa tygodnie od 27 czerwca do 10 lipca br., wypełnił przeszło 80-stronicową książeczkę, co już świadczy o skali tego filmowego maratonu. Oprócz głównego konkursowego przeglądu filmów pełnometrażowych, odbyło się wiele imprez z trudem dających się określić jako „towarzyszące' '. Zorganizowany po raz pierwszy konkurs debiutów (13 filmów), przegląd filmów dokumentalnych: **„Konflikty współczesnego świata"**, pokazy w tzw. sekcji informacyjnej (42 filmy z 28 państw), prezentacje dzieł zagranicznych absolwentów wydziału filmowego praskiej AMU oraz najciekawszych wyprodukowanych ostatnio filmów czechosłowackich, tradycyjna **„Wolna trybuna"** na temat **„Film i człowiek 1980 roku"**, targi filmowe (166 tytułów!), wieczór filmów poświęconych Czechosłowackiej Spartakiadzie, składające się z 14 programów **„Letnie Kino"**, traktowane przez organizatorów jako kontynuacja odbywającego się dwukrotnie w ciągu roku (latem i zimą) w CSRS Festiwalu Filmów Pracujących, wreszcie — szereg minifestiwali w miastach zachodnich Czech — wszystkie te imprezy współtworzyły bogaty program, niejednokrotnie nawet przesłaniając artystyczną rangą to, co wyświetlano na głównym, konkursowym ekranie festiwalowego kina. Każdej konkursowej projekcji w liczącej 1200 miejsc sali wybudowanego przed 4 laty **„Thermalu"** — nowego, imponującego festiwalowego centrum, towarzyszyły konferencje prasowe. Zorganizowano również kilka wystaw m. in. pn. **„35 lat czechosłowackiej kinematografii"**, konfrontacje plakatu filmowego, a także cieszące się wielkim powodzeniem **„Autogramiady"**, czyli spotkania twórców z łowcami autografów.

Atrakcji więc nie brakowało, a ci, którzy wybrzydzali na artystyczny poziom niektórych filmów konkursowych (zdarzyło się wśród nich kilka zwyczajnych nieporozumień), mogli w „sekcji informacyjnej" cieszyć się uznanymi w świecie filmowym wartościami. Pokazano tu m. in. grany już i u nas film **„Kramer contra Kramer"** amerykańskiego reżysera **R. Brentona**, nagrodzone na ostatnim moskiewskim festiwalu filmy **„Amator" K. Kieślowskiego** i **„Chrystus zatrzymał się w Eboli" F. Rosiego, „Małżeństwo Marii Braun" R. W. Fassbindera, „Prostą historię" C. Sauteta, „Jesienny maraton" G. Daneliji i... „Jesienną sonatę" I. Bergmana, „Węgierską rapsodię" M. Janeso**, a także filmy innych znanych reżyserów, jak **Z. Fabri, Ch. de Chalonge, M. Schell, B. Widerberg, G. Berlanga** i in.

Bardziej skomponowany, odpowiadający założeniom ideowym festiwalu był program głównego konkursu, w którym wzięły udział 33 filmy reprezentujące 30 kinematografii. Oceniało je międzynarodowe jury pod tradycyjnym już przewodnictwem prof. **A. M. Brousila**, a z udziałem m. in. polskiego reżysera **Jerzego Hoffmana.**

Już z przytoczonego na wstępie hasła wynika, iż zasadniczymi kryteriami, jakimi kierowała się przy wyborze filmów komisja kwalifikacyjna, było zaangażowanie i prawdziwy, przekonujący obraz współczesnych problemów człowieka i ludzkości w twórczości filmowej. Przez wiele zresztą lat był karlowarski festiwal jedynym, na którym spoczywało odpowiedzialne zadanie eksponowania i propagowania na międzynarodowym forum humanistycznych, pokojowych i postępowych treści sztuki filmowej. Odnosiło się to i odnosi nadal przede wszystkim do filmów kinematografii socjalistycznych i nowo powstających w krajach rozwijających się, a także — w niejednym przypadku — do prób takiej twórczości w ramach kinematografii krajów kapitalistycznych. Tu, w Karlowych Warach, zdobyły pełne prawa prezentacji i zasłużone uznanie pierwsze próby filmowców z NRD, Mongolii, CHRL, Korei, walczącego Wietnamu. Tu prezentowano filmy postępowych twórców z Indii, Japonii i Ameryki Łacińskiej oraz zaangażowaną społecznie twórczość zrealizowaną w łonie komercjalnych kinematografii — choćby włoski neorealizm.

Swego czasu aktem pewnej odwagi było wprowadzenie odrębnego sympozjum młodych i nowych kinematografii Afryki, Ameryki i Azji. Dziś szereg z nich niejednokrotnie konkuruje z innymi, dojrzałymi kinematografiami, zdobywa międzynarodowe laury. Toteż po pięciu edycjach sympozjum zrezygnowano z kontynuowania tej formy, co nie znaczy, że filmy młodych kinematografii nie zajmują w programie MFF nadal wiele miejsca. Na XXII karlowarskim festiwalu pokazały swoje filmy np. **Argentyna, Brazylia, Bangladesz, Meksyk Iran, Tunezja, Syria Algiera, Nowa Zelandia, Mongolia i Wietnam,** a także twórcy związani z **Siłami Patriotycznymi Chile.** W cyklu **„Konflikty współczesnego świata"** widzowie mogli obejrzeć filmy dokumentalne pochodzące z **Afgańskiej Demokratycznej Republiki, Mozambiku, Jemenu, Iraku, Chile** oraz z wytwórni filmowej **Organizacji Wyzwolenia Palestyny.** Kilku z nich przypadły festiwalowe nagrody. Np. **„Nagrody specjalne jury"** otrzymały filmy z **Tunezji** („Aziza") oraz z **Indii** („Gorąca bogini"). Wyróżniono również twórców z **Argentyny, Kuby, Wietnamu, Iranu.**

Ta otwartość na propozycje raczkujących jeszcze kinematografii jest ważną zaletą karlowarskiego festiwalu. Doceniają to również twórcy zachodni. Wybitny hiszpański reżyser **Juan Antonio Bardem** („Śmierć rowerzysty", „Główna ulica", „O piątej popołudniu", „Ofiara namiętności"), który w tym roku po raz pierwszy przyjechał do Karlowych Warów i brał udział w pracach jury, powiedział:

**— Burżuazyjne festiwale filmowe muszą się, niestety, kierować tym, jak to czy tamto dzieło spełnia kryteria komercjalności i jakie zyski handlowe może przynieść. W Karlowych Warach, a także i w Moskwie, w nieporównywalnie większym stopniu otwiera się drzwi przed młodymi kinematografiami, które dopiero rodzą się albo rozwijają, bez możliwości oparcia się o własne filmowe tradycje. Jest zrozumiałe, że w ten sposób nie zawsze wprowadza się filmy dojrzałe. Ale za to stwarza się szansę, ofiarowuje pomoc.**

Czołowe — z jedenastu przyznanych przez jury nagród — przypadły jednak na XXII MFF filmom kinematografii europejskich państw socjalistycznych. **„Kryształowy Globus"** powędrował do NRD, skąd pochodzi film **„Narzeczona"** zrealizowany w filmowo-telewizyjnej koprodukcji, a wyreżyserowany przez **Gunthera Ruckera** i **Gunthera Reischa.** Podstawą scenariusza była powieściowa trylogia o charakterze autobiograficznym pióra Evy Lippold, której akcja dzieje się wkrótce przed rozpoczęciem II wojny światowej i w jej latach. Bohaterką filmu jest młoda komunistka, uwięziona przez hitlerowców i odbywająca 10-letnią karę więzienia za tzw. zdradę państwa. Mimo fatalnego traktowania i nieludzkich warunków Hella nie tylko nie zdradza sprawy i towarzyszy, ale — przede wszystkim — dzięki pielęgnowanej miłości ocala swoje człowieczeństwo, czym zdobywa szacunek innych więźniów.

Powie ktoś, że temat to niezbyt oryginalny, że znany już jest z ekranu. Fakt, ale film niemieckich twórców posunął opracowanie tego tematu jeszcze dalej. Portret bohaterki nakreślony został z wielką subtelnością. Bez naturalizmu i tzw. drastycznych scen potrafili twórcy przenieść jednak na widza nieludzką, dławiącą atmosferę czasów i miejsca, w których dzieje się akcja filmu. Duża zasługa w tym i międzynarodowej obsady aktorskiej, w której — obok świetnej niemieckiej aktorki **Jutty Wachowiak** w roli Helly — grają Czeszka **Slava Budinova** jako więźniarka Lola oraz — w głównej męskiej roli — radziecki aktor **Regimentas Adomajtis.**

Z innych filmów pokazywanych i nagrodzonych w głównym konkursie wspomnę jeszcze o dwóch, produkcji kinematografii zachodnich. **„Różę z Lidic"** (Lidice — to znane miejsce martyrologii narodu czeskiego, założony na pogorzelisku wsi ogród pełen róż nadesłanych z całej Europy) otrzymał zachodnioniemiecki film **„Dom nr 67".** Nakręcony został przez parę reżyserów — **Usch Weller** i **Wernera Meyera** i choć daleko mu do acydzieła, zwrócił uwagę widzów oraz jury rzetelnością spojrzenia na faszyzm. Jest to film o małych chłopcach i dziewczynkach — mieszkańcach jednej z berlińskich ulic, „wychowywanych przez ulicę", którzy po dojściu Hitlera do władzy pod presją rodziców zakładają mundury „Hitlerjugend". Narastanie faszyzmu widziane oczami dziecka i psychologiczno-moralne skutki tego historycznego procesu — to właśnie główny temat filmu.

Nagrodę za najlepszą męską rolę otrzymał **Al Pacino** — odtwórca roli adwokata Kirklanda w filmie **Normana Jevisona** (znanego z filmu „ W upalną noc") pt. **„Sprawiedliwość dla wszystkich".** Podczas karlowarskiego festiwalu film ten wywołał sporo dyskusji. Chwalono go za „uczciwość głosu", bowiem istotnie donkiszoterski bój młodego obrońcy o sprawiedliwość z biurokratyzmem i formalizmem amerykańskiego systemu sprawiedliwości pokazany został w ostrym świetle, krytycznie. Głównym zarzutem zaś było to, iż nazbyt przypominał on znane hollywoodzkie obrazy o walczących w pojedynkę, dzielnych policjantach, detektywach, dziennikarzach...

Dwie **„Wielkie specjalne nagrody"** otrzymały filmy czechosłowacki i polski. Pierwszy z nich nakręcony — co miało specjalną, symboliczną wymowę — wspólnym wysiłkiem artystów słowackich i czeskich wyreżyserował **Słowak Martin Holly** (większość scen jednak zrealizowano w praskim Barrandovie). Akcja filmu toczy się na frontach I wojny światowej, a jego czołową postacią jest — grany przez **Vlado Mullera** — kapral Hoferik, przedwojenny handlarz końmi, którego niesprawiedliwa wojna poddaje trudnej próbie człowieczeństwa (niestety, wychodzi z niej przegrany).

Twórcy polskiego filmu zatytułowanego **„Paciorki jednego różańca"** należeli do tych, którzy w czasie festiwalu zebrali bezpośrednio po projekcji najwięcej gratulacji. Bo też trzeci film ze „śląskiej trylogii" reżysera **Kazimierza Kutza** (przed laty bardzo się tu podobał pierwszy — „Sól ziemi czarnej") ujął widzów doskonałą znajomością realiów i mentalności ludzi. Po **„Perle w koronie"** długo szukał Kutz tematu do swego trzeciego i podobno ostatniego filmu o Śląsku, w którym zawarta byłaby prawda o jego współczesnym życiu.

Znalazł go w opowiadaniu **Albina Siekierskiego „Tego domu już nie ma"**, w historii starego, zasłużonego górnika, który upiera się przy swoim prawie do życia w wybranych przez siebie, określonych przez tradycję środowiskową oraz rodzinną, warunkach. Silnie emocjonalny film na przemian wzruszał i bawił widzów swym sarkastycznym, plebejskim humorem, a przy tym dał asumpt do dyskusji na temat granic autonomii jednostki w obliczu gwałtownych społecznych przemian.

Polska delegacja filmowców — na czele z wiceministrem kultury i sztuki **A. Juniewiczem** i autorami filmu: reżyserem **K. Kutzem**, operatorem **W. Zdortem** i odtwórczynią głównej żeńskiej roli, niezawodową aktorką **Martą Straszną** (która wystąpiła na festiwalu w ludowy śląskim stroju) — z dużą przyjemnością wysłuchała owacji po zakończeniu projekcji tego filmu. Sukces jest tym bardziej godny podkreślenia, że dotyczy on filmu właściwie kameralnego, zrealizowanego skromnymi środkami i w bardzo krótkim czasie.

Z chłodniejszym przyjęciem spotkał się natomiast drugi nasz konkursowy film wyświetlony w **„Dniu Polskim"** 7 lipca w wielkiej sali „Thermalu". Twórcy **„Olimpiady 40"** prezentowanej w konkursie na najlepszy debiut sięgnęli do autentycznych faktów jakie miały miejsce w 1940 roku w jednym z obozów jenieckich. Więźniowie — oficerowie polscy i alianccy — mimo zagrażającego niebezpieczeństwa decydują się przeprowadzić konspiracyjną olimpiadę sportową. Ma ona przekonać hitlerowców o niesłabnącej sile fizycznej i harcie ducha, ma być manifestacją jedności uwięzionych przedstawicieli różnych narodów, których złączył wspólny los.

Sportowa rywalizacja zbliża ludzi, wraca im godność, ludzkie odruchy i uczucia, pomaga przezwyciężyć zniechęcenie ,poczucie beznadziejności i braku perspektyw. Humanistycznej wymowie i aktualności idei olimpijskiej zawdzięcza ten — wyreżyserowany przez **Andrzeja Kotkowskiego** — film jedną z trzech równorzędnych nagród (obok filmu hiszpańskiego i estońskiego) poziomem artystycznym bowiem nie wykraczał on poza granice poprawności. Paradokumentalna forma wydała mi się w przypadku tego filmu zbyt surowa. Dyskutowałbym również z pomysłem wprowadzenia przydługiej ekspozycji, natomiast w grze młodych, utalentowanych skądinąd aktorów (m. in. M. Benoit, K. Janczar) wyczuwało się pewien — niezamierzony chyba — chłód i dystans do postaci.

Dwa ważne laury w konkursach i fakt dużego zainteresowania polskimi tytułami wyświetlonymi w „sekcji informacyjnej": **„Pannami z Wilka", A. Wajdy, „Wodzirejem" F. Falka i „Amatorem" K. Kieślowskiego** uzupełniają listę ostatnich sukcesów naszego kina. Po festiwalach w Moskwie i Cannes przyszły Karlowe Wary. Dodajmy jeszcze, że poza wymienionymi pokazano tu **„Test pilota Pirxa"** reż. **Marka Piestraka** i — w przeglądzie filmów zagranicznych absolwentów FAMU — **„Akcję Brutus" reż. Jerzego Passendorfera.**

Z twórczością polskich filmowców karlowarscy widzowie mieli okazję spotkać się raz jeszcze — w tydzień po zakończeniu XXII MFF. Staraniem Polskiego Ośrodka Informacji i Kultury w Pradze od 18 lipca do 3 sierpnia br. odbywały się bowiem w Karlowych Warach i w regionie Dni Kultury Polskiej podczas których — w ramach **„Tygodnia polskiego filmu"** — wyświetlono wspomniany film reż. **M. Piestraka, „Hallo, Kozia Bródka!" J. Rzeszewskiego i M. Jahody, „Małomocną" J. Hoffmana** oraz kilkanaście krótkometrażowych filmów dla dzieci.

**TOMASZ SOLDENHOFF**

# LUIGI COMPAGNA BOI SIĘ

Wnętrze „małego bourgeois" pojawia się — jako temat — często w kinie zachodnim. Najnowszy przykład to **„Rewolwer" Pasquale Squitieri.** Film, który w założeniu ma być ostrym pamfletem — odbierany jest u nas jak film sensacyjny. Decyduje o tym egzotyczność — z punktu widzenia naszej szerokości geograficznej — wydarzeń, które w obliczu zjawiska terroryzmu nie wydają się czymś nadzwyczajnym. Luigi Compagna, bywalec podejrzanych atelier fotograficznych i kolekcjoner pornograficznych widokówek, potulny pracownik — nienawidzący, a zarazem lękający się swojego szefa, wreszcie domowy tyran i okrutnik — kupuje tytułowy rewolwer. Poza wymienionymi cechami jest tchórzem. Broń w kieszeni dodaje mu odwagi, — a w krótkim czasie czyni z niego potencjalnego mordercę. Wyzwala w nim agresję, która jest naturalną konsekwencją tkwiących w nim kompleksów. Rewolwer Luigiego jest odpowiednikiem czechowowskiej strzelby, która pojawiając się w pierwszym akcie musi wystrzelić w ostatnim. Od początku filmu nie mamy wątpliwości, co do zakończenia. A jednak to nie nasz bohater strzela. Wręcz przeciwnie — ginie od kuli. Ale nie jest to kula terrorysty. To po prostu jakiś inny, przerażony Luigi Compagna wypatrzył go — z rewolwerem w ręku — przez firankę. Terroryści w ogóle nie pojawiają się na ekranie, a jedynymi przestępcami — poza bohaterem i jego zabójcą — jest trójka kilkunastoletnich złodziejaszków, zakradających się do opuszczonego mieszkania.

Jak widać, samotnym — prawdziwie negatywnym, wyśmianym, wyszydzonym, zdemaskowanym bohaterem filmu jest włoski mieszczuch. Przypisane zostają mu w filmie cechy, które stanowią zestaw stereotypowy. A więc przede wszystkim lęk: przed młodzieżą, narkotykami, komunizmem, kryzysem, terroryzmem. Po drugie jego zakamuflowana pod dostojeństwem pracownika poważnej firmy i ojca rodziny — erotomania. Rubaszne rozmowy w firmie, wizyta w zaprzyjaźnionym zakładzie fotograficznym, gdzie nasz bohater — w gronie kolegów — wykonuje serię kolorowych zdjęć do ukrywanego przed żoną albumu, kupno szwedzkich „świerszczyków" — a na koniec brutalne potraktowanie żony — mają przekonywać nas o głęboko tkwiących w podświadomości Luigiego kompleksach. Następna sprawa to frazeologia, jaką bohater przywołuje do uzasadnienia konieczności obrony — po zakupie rewolweru. W jego okrzykach w trakcie kłótni z żoną pojawia się często słowo rodzina, bezpieczeństwo, obowiązek. A później jesteśmy świadkami wizji Luigiego, w których rozprawia się z bandą młodzieńców wlokących po jakimś śmietniku Claudię Cardinale (czyli ekranową żonę bohatera). W przedostatnich scenach filmu następuje jednak odwrócenie perspektywy pamfletowej. Ostatecznie skompromitowany bohater wyznaje swoje winy — oskarżając się o brak człowieczeństwa, ludzkich uczuć, chęć upodobania do otaczającego go, okrutnego, mieszczańskiego świata. A więc odrażający Luigi był przecież człowiekiem, zrozumiał to jednak za późno — mamy według reżyserskich założeń pomyśleć wychodząc z kina. Jeżeli więc i my także odkryjemy w sobie cechy bohatera filmu — nie wszystko dla nas stracone. Całe szczęście **to nie widzowie kina „Bałtyk"** są wpisanymi w dzieło adresatami **„Rewolweru".** Nie bardzo wiedzieliby, co teraz ze sobą zrobić.

Schematyczność konstrukcji postaci Luigiego Compagna, jego totalne przekarykaturowanie, wprowadzenie mocno retorycznego tonu moralizatorskiego, naiwność diagnozy społecznej — uzasadniają, jak mi się wydaje, potrzeby publicystyczne. Nie wnikliwość psychologiczna, czy socjologiczna mają stanowić punkt dojścia. Liczy się tu doraźna skuteczność. Szlachetne intencje filmu nie zmieniają jednak faktu, że sposób opowiadania o Luigim i jego odrażająca postać sprawiają wrażenie, jakby to jakiś trzeci z kolei Compagna był autorem „Rewolweru". Bo to, że adresatami tego filmu mają być koledzy naszego bohatera ze świata pozafilmowego — ustaliliśmy już wcześniej. Czym więc można zagrozić prawdziwemu mieszczuchowi z krwi i kości? Czym można go przestraszyć? Oto Luigiego spotykają od losu wyjątkowo okrutne prześladowania. Najpierw młodzi koledzy córki robią mu paskudny kawał — a więc ci, którymi pogardzał najbardziej poniżają bohatera. Potem supermężczyzna wpada w ramiona emerytowanej śpiewaczki operowej, która rano usiłuje karmić go własnoręcznie, przyniesionym do łóżka śniadaniem (co za upokorzenie!). W chwilę później okazuje się, że od dawna zdradzała go żona (i to na domiar złego z brodatym młodzieńcem). Niedługo potem oszalałego z furii męża-rogacza osaczają karabinierzy. A gdy już pada na podłogę — po strzale z sąsiedniego okna — mała, śmieszna zabawka na podłodze bije brawo nad jego zwłokami — aż do zwolnienia sprężyny.

Widać więc wyraźnie, że nieszczęścia, które spotykają Luigiego są dokładnie takimi, jakich mógł obawiać się najbardziej. Cierpienia, jakie zgotował mu los są równie pospolite, równie marne, jak on sam. Bohater ponosi klęskę — jest nią klęska na jego miarę, upadek w skali „wartości" erotycznych i skali społecznego prestiżu, mieszczańskiej hierarchii. To właśnie najbardziej ma przerażać widza. Będziesz jak Luigi — skończysz, jak Luigi!

Straszenie zachodniego mieszczucha mieszczuchem, grożenie mu upadkiem na miarę jego świata — jest zabiegiem równie efektownym co bezskutecznym. Przecież biedak i tak już się boi — a w dalszym ciągu nie wie, jak mógłby stać się prawdziwym człowiekiem.

**PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI**

## PROPOZYCJE

# LUBIĘ BYĆ STRASZONY

Bardzo lubię być straszony, wręcz przerażany. Przepadam za tym. Przez długi czas dawałem się przerażać telewizji, naszej kochanej. Kiedy tylko usłyszałem, że w programie będzie dreszczowiec, że jakiś film przeznaczony jest dla dorosłych wyłącznie, zaraz dostawałem przyjemnej drżączki, w oczach pojawiało się przerażenie i z nieopisaną niecierpliwością oczekiwałem godziny emisji tych okropności. Ale za trzecim, czy czwartym razem, kiedy okazało się, że są to okropności dla emerytów, ludzi chorych na serce i nieletniej młodzieży, których to grup telewidzów nie należy przerażać ze względu na stan ich zdrowia, aby przypadkiem szlag ich nie trafił przed telewizyjnym odbiornikiem, przestałem przejmować się tym, co się mówi w telewizji.

Teraz znów kilka gazet postanowiło mnie solidnie nastraszyć i dzięki im za to. Oto w jednej piszą, że już niedługo czeka nas niebywały postęp w elektronice i będziemy mianowicie dysponowali zestawami sprzętu elektronicznego w domach w postaci tzw. wież, które będą w cenie samochodu małolitrażowego. Gazeta uprzejmie nie informuje, czy w cenie oficjalnej tego samochodu czy w giełdowej. Ale i tak jestem już dokładnie przerażony, choć zupełnie nie wiem, co to jest ta „wieża elektroniczna" i po co mi ona.

Okazuje się wszakże, że to jeszcze nie wszystko, bowiem będę mógł sobie wybrać między „wieżą elektroniczną", „slim-line" albo „mini". Przerażenie moje osiąga już apogeum, gdyż nie wiem, co lepiej będzie mieć: „wieżę", „slim-line", czy „mini". Wolałbym „mini", bo może nie będzie kosztowało tyle, co samochód małolitrażowy, ale może będzie liche. Teraz chciałbym kupić sobie dobry, bez żadnych tam nadzwyczajności, gramofon naszej rodzimej, łódzkiej firmy: „Foniki", ale na ogół nie ma. A tu mnie jeszcze straszą, że w przyszłości i to już niedalekiej, będę miał gramofon z zapisem optycznym zamiast mechanicznego. I że będę mógł programy telewizyjne i radiowe odbierać bezpośrednio z satelity. W głowie mi się kręci. Jeśli tylko pomyślę, ile to wszystko będzie kosztowało, to się zastanawiam czy nie lepiej jednak kupić „malucha". Ale maluch nie ma anteny automatycznie ustawianej w kierunku stacji nadawczej, nie posiada układu syntezy częstotliwości i układu redukcji szumu. Wręcz przeciwnie, „maluch" szumi raczej za bardzo. Będę musiał w końcu udać się na konsultacje do Jacka Indelaka, który wyznaje się na tych wszystkich ekstrawagancjach. On mi wszystko wytłumaczy. Ale, com się nastraszył, to nastraszył.

Nie koniec na tym. Dowiedziałem się również, że już niedługo, kiedy kupię sobie polski telewizor „Jowisz", to jednocześnie kupię komputer oraz drukarkę. Będę bowiem mógł nie tylko oglądać programy w kolorze, ale też zostać podłączony do sieci kablowej, albo jeszcze lepiej światłowodowej, za pośrednictwem której będę mógł mieć na ekranie mojego „Jowisza" dokładny, stale korygowany rozkład jazdy pociągów, telegazetę, program kin, teatrów, będę też mógł korzystać z centralnego banku danych. Słowem szczyty techniki. Na dodatek jeszcze będę mógł uprawiać różne gry telewizyjne, zabijając tym czas wolny po pracy.

Przeraziło mnie to tym bardziej, gdyż uprzejmy informator roztaczający przede mną te prześwietne perspektywy, był tak dowcipny, że nie napisał, ile te cuda będą kosztowały. Co prawda, dziadek Zysio pocieszył mnie, abym się nie martwił, bo póki co, to zwykłego „Jowisza" nie można kupić, może więc i tamtego też nie będzie można dostać, nie ma się teraz czym przejmować. — A poza tym — mówił dziadek Zyzio — przymusu nie ma, kupować nie musisz.

Pocieszył mnie również (D) z „Głosu Robotniczego" donosząc, że skrzyżowania uliczne w śródmieściu Łodzi zostaną zelektronizowane i ruch na nich będzie sterowany przez komputer i że „opracowany kompleksowy system... nabiera realnych kształtów". Biuro Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi „przygotowało kilka koncepcji tematycznych", które „są na etapie opiniowania" i że wszystko to może być realne dopiero po 1985 roku, bowiem „dopiero wówczas osiągnie się praktyczne efekty wdrożenia nowoczesnej elektroniki". To mnie uspokoiło. Poczciwe chłopisko ten (D). Wizja „wieży elektronicznej" odsunęła się w czasie. Może do tej pory „maluchy" potanieją!

Póki co, wybrałem się nadal w poszukiwanie takiego małego magnetofonu, który ponoć od dawna produkuje „Kasprzak" w Warszawie, a który miał się nazywać „Notes" i który bardzo by mi się przydał w mojej pracy dziennikarskiej. Niestety, ciągle mi wszędzie mówią, że coś takiego miało być, ale nie ma i nikt nie wie, kiedy będzie. A w gazetach zapowiadali „Notesy" jakieś pięć lat temu, a może i więcej.

I to mnie uspokoiło całkowicie. „Wieża elektroniczna" odpłynęła w daleką przyszłość. Póki co, trzeba będzie dać mojego „Ułana" do reperacji, bo silnik tak huczy, że zupełnie nie słychać co jest nagrane na taśmie. „Ułan", wyjaśniam, to magnetofon tegoż „Kasprzaka" — oznaczony: „B 303 automatic". Taśm dobrych w kasetach też nie można dostać. Proszę nie kupować produkowanych w Szczecinie. Dobre są z Gorzowa, ale ich właśnie nie ma. Czekam też na dobry gramofon. Z mechanicznym zapisem, póki co. Zresztą „Fonica" obiecywała obraz telewizyjny na płycie, ale też na to przyjdzie trochę poczekać. Jakieś małe piętnaście lat.

MARCIN RODAK

## Z GALERKI

# HENRYK KLUBA

## A CÓŻ TO ZA PRZYCZYNA, CHUDY JEST, INNYCH NI MA?

*Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski*
*Tekst Mieczysław M. Szargan*

## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

# ZAPOMNIANE CZASOPISMO NAUKOWE

W cyklu tych felietonów staram się przypomnieć ciekawe, a najczęściej mało znane zjawiska z przeszłości kulturalnej naszego miasta. Dzięki wnikliwym i cennym badaniom Wiesławy Kaszubiny mogę dziś przypomnieć czasopismo „Entomolog Polski", wydawane w Łodzi równo siedemdziesiąt lat temu.

Pracę opublikowała łódzka badaczka w „Rocznikach Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego" jeszcze w roku 1970. Niestety, w drugim tomie dziejów prasy polskiej, wydanym w 1976 roku, nie znajdujemy żadnej informacji o tym pierwszym polskim czasopiśmie poświęconym entomologii. Tym bardziej usprawiedliwiony jest ów tytuł felietonu: „Zapomniane czasopismo naukowe".

Otóż, jak pisze Wiesława Kaszubina, Łódź w pierwszych latach XX wieku znana była głównie jako centrum przemysłowe. I oto w tym przemysłowym mieście powstaje w roku 1910 Łódzkie Towarzystwo Entomologów, czyli badaczy świata owadów. Grupa łódzkich miłośników przyrody o aspiracjach naukowych zainicjowała nie tylko powstanie Towarzystwa, ale także rozpoczęła wydawać pismo naukowe poświęcone wyłącznie entomologii. Było to — jak wspomniałem — pierwsze polskie pismo o tym charakterze.

Autorka rozprawy o „Entomologu Polskim" podkreśla szczególnie fakt, że pismo to pozyskało sobie entuzjastów i znawców przedmiotu w skali ogólnopolskiej, że zostało założone z inicjatywy społecznej, że wreszcie — choć pozbawione odpowiedniego zaplecza w postaci tradycji naukowych, instytutów i warsztatów pracy — wydawane było na dobrym poziomie.

Zasługa to dwóch towarzystw naukowych, które powstały w Łodzi po roku 1915, gdy — po pewnych ustępstwach caratu — w Królestwie zaistniały warunki sprzyjające powstawaniu zbiorów muzealnych. Chodzi tu o wspomniane już Towarzystwo Entomologów oraz powstałe w tym samym czasie, Towarzystwo Muzeum Nauki i Sztuki. Ludzie, którzy podjęli owe inicjatywy, to: dr Ludwik Przedborski, prof. Jan Czeraszkiewicz, dr Witold Eichler, dr Stanisław Skalski, inż. Edward Stankiewicz, Aleksander Szepietowski i Konstanty Wysznacki.

Łódzkie Towarzystwo Entomologów zaprezentowało swoje zbiory — przeważnie egzotycznych motyli — na pierwszej w Łodzi wystawie przyrodniczej, urządzonej w jednej z większych sal w mieście, w lokalu obecnego kina „Tatry" przy ul. Mikołajewskiej — dzisiejszej Sienkiewicza. Wystawa cieszyła się dużym powodzeniem i bywały dni, w których — jak donosił „Rozwój" z maja 1910 roku — ekspozycję zwiedzało po dwa tysiące osób.

Dochód z wystawy i zainteresowanie społeczeństwa nasunęły łódzkim przyrodnikom myśl założenia czasopisma. Pierwszy numer ukazał się w końcu 1910 roku. Zamierzeniem Towarzystwa było wydawanie początkowo czterech zeszytów rocznie, później pismo miało się stać miesięcznikiem.

Redakcją kierował organizator Towarzystwa, Edward Korb warszawiak, z wykształcenia inżynier, który w 1905 roku przybył do Łodzi. Czas wolny od pracy zawodowej (pracował m.in. w fabryce J. Johna, obecnych Zakładach im. J. Strzelczyka), poświęcał entomologii, posiadał bardzo bogate zbiory, był jednym z niewielu znawców korników. Część tych zbiorów trafiła później do Katedry Ewolucjonizmu Uniwersytetu Łódzkiego.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Edward Korb opuścił Łódź i przeniósł się do Warszawy, gdzie poświęcił się pracy pedagogicznej. „Światły ten człowiek — pisze Wiesława Kaszubina — choć położył duże zasługi dla ówczesnego środowiska łódzkiego na polu nauk przyrodniczych, został w Łodzi prawie nie zauważony".

Tak jak nie zauważony i szerzej nie znany jest fakt wydawania w Łodzi w początkach wieku — czasopisma naukowego na wysokim poziomie. „Entomolog Polski" podzielił los wielu polskich czasopism ówczesnej doby. Nie stał się miesięcznikiem, skąpe źródła finansowe wyczerpały się i pismo wkrótce upadło.

Nie odbiegało to od ogólnego obrazu złej sytuacji materialnej prasy polskiej pod rosyjskim zaborem. Na tym tle wysiłek garstki łódzkich przyrodników, pozbawionych oparcia i pomocy, zasługuje na przypomnienie.

WIDOK

## 1/3 mini magazynek

### PODNOSZENIE CIĘŻARÓW

Jeszcze wakacje, lato się właściwie dopiero zaczyna a tu już trzeba myśleć o sprawach szkolnych. Handel organizuje więc kiermasze szkolne, zachęcając rodziców, aby teraz kupowali, bo „później może braknąć". Ostrzeżenia te są wyrazem ogromnego optymizmu handlowców gdyż już teraz brakuje niektórych artykułów, składających się na uczniowski ekwipunek. Brakuje na przykład tornistrów. Uczeń bez tornistra, to jak żołnierz bez tornistra. W czym obaj mają nosić buławę? Nie mówiąc już o zeszytach i książkach które powinny być w szkolnym tornistrze.

Nie ma też plasteliny oraz kredek świecowych. Również z podręcznikami są kłopoty, ale mają nadejść. Drukują się.

Nie rozumiemy, dlaczego od dawna brakuje plasteliny i kredek świecowych. Czyżby to była tak trudna produkcja? A właściwie rozumiemy. Pewnie producent rozliczany jest według wagi swojej produkcji, wtedy mu się nie opłaca robić byle g... Fabryki papieru też się rozlicza według wagi produkcji i tektury na ogół nie brakuje. Nasi producenci — jak z tego widać — kochają się w podnoszeniu ciężarów.

PLASTUŚ

### JAK ONI TO LICZĄ?

„Życie Gospodarcze" opublikowało, za zachodnioniemieckim tygodnikiem „Stern", zestawienie cen zużycia paliwa i kosztów eksploatacji różnych zagranicznych marek samochodów. Pismo wyjaśnia, że z zestawienia dokonało wyboru „najbardziej znanych nam marek". Przy okazji podaje, że w RFN za 1 dolara USA płaci się 1,74 marki RFN. To dla tych, którzy lubią wszystko przeliczać. Ile aktualnie w PRL płaci się złotych za 1 dolara USA nie podajemy, bo każdy ma własną kalkulację i prywatny kurs dolara, według którego wszystko przelicza.

A teraz kilka danych z owego zestawienia:

Najmniejszy koszt przejechania 1 km posiada Fiat 126 L — 0,19 marki, największy — MERCEDES 280 E — 0,39 marki. Dla porównania: koszt przejechania 1 km samochodu ŁADA 1500 wynosi 0,28, FIATA 127 L — 0,23 marki, PEUGEOTA 504 TI — 0,37, VOLVO 244 GLT — 0,35, FORDA Mustang — 0,33, ALFA ROMEO Alfasud — 0,27 marki. Kokurencję tę, jak widzimy, wygrywa FIAT 126.

Nie wiemy, jak wyglądają podobne zestawienia kosztów przejechania 1 km u nas ale wiemy jedno: trzeba bez wątpienia wliczyć prezent dla pana Kazia z warsztatu naprawy i dla pana Zdzisia ze sklepu z częściami samochodowymi.

Benc Opel

## TO I TAMTO

### Apokalipsa

„Dziennik Popularny" ostrzega hodowców królików, aby nie zabierali siana z trawników przy ruchliwych drogach i ulicach, bo jest zatrute spalinami. To samo dotyczy grzybów, kwiatu lipowego i innych ziół.

Ciekawi nas, gdzie są zbierane zioła dla „Herbapolu"?

### Ten sam człowiek

Tenże „Dziennik Popularny" wzbogacił naszą ekipę olimpijską o jedną osobę: Zofię Filipównę — halową mistrzynię Europy w biegach przez płotki. Wyjaśniamy: Zofia Filipówna i Zofia Bielczyk — to ten sam człowiek. Przepraszamy, kobieta. Po prostu, panna Zofia wyszła za mąż za pana Bielczyka i stała się panią Zofią Bielczykową, o czym w „DP" w dziale sportowym powinno się wiedzieć.

### Śpij spokojnie

„Express Ilustrowany" opublikował „psychotest" pod znamiennym tytułem: **„Czy możesz być dyrektorem?"**. Kto po odpowiedzeniu na 11 pytań otrzyma 11 punktów — ma zadatki na dyrektora. Kto mniej — nie nadaje się.

Wszystkich, którzy uzyskali 10 i mniej punktów, uspokajamy. Znamy kilku dyrektorów, którzy też się na swoje stanowiska nie nadają, a już w czwartej czy piątej instytucji takie stanowisko piastują. Nie ma więc się czym martwić!

S.Z.PERACZ

### Czyżby?

**„WARTO BYĆ GAZOWNIKIEM"** — zapewnia „Dziennik Popularny". Mamy co do tego poważne wątpliwości. Po pierwsze — innego zdania jest wątroba każdego z nas. Po drugie — innego zdania są lekarze, którzy ciągle ostrzegają przed piciem, a sami nieustannie w podzięce od pacjentów otrzymują pół litra... koniaku. Po trzecie — innego zdania jest Olesia K., którą akurat spotkaliśmy po trzecim dniu wesela na wsi.

A. B. Stynent

*Rys. Jan Kilkowski*

### WYCIECZKI DLA... ŁYSYCH

„Express Ilustrowany" i „Gromada" wspólnie organizują wycieczki na Węgry. Będą to wycieczki dla łysych, jako że w programie przewidziano pokazy leczenia włosów, możliwość kupienia „cudownego płynu Banfiego".

Czyżby po wprowadzeniu surowych kar dla handlarzy na Węgry już nie opłacało się jeździć naszym „turystom"?

GLOB TROTER

### ZŁOŚLIWOŚĆ PIORUNÓW KULISTYCH

W przyrodzie występują pioruny kuliste. Myśmy ich wprawdzie nie widzieli, ale wierzymy, że występują. Do dziś nie wiadomo, jak się to dzieje, dlaczego i po co? Naukowcy badają nadal ten problem ze zmiennym powodzeniem. Ostatnio sporo kulistych piorunów pojawiło się w Kirgizji. Jeden z nich wpadł do muzeum w stolicy Kirgizji — Frunze. Inny, w tym samym mieście, do mieszkania szefa stacji meteorologicznej.

Te dwa wydarzenia komentuje się, jako widomy znak piorunów kulistych, które tamtejszym i innym uczonym dają do zrozumienia, że jak nie wyjaśnią ich zagadki — to pójdą do muzeum.

Nie wiadomo tylko kto: uczeni czy pioruny? Krążą na ten temat sprzeczne poglądy.

P.O.Dłużny

### To proste!

**„JAK USTRZEC SIĘ ZATRUĆ GRZYBAMI?"** — pyta „Dziennik Popularny".

Odpowiadamy: wobec braku zgodności specjalistów, czy niektóre grzyby są jadalne, dobre, szkodliwe ,trujące i tak dalej — po prostu **nie jeść grzybów!**

B.O.ROWIK

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. Mickiewicza 11; kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Warunki prenumeraty: miesięcznie — 12 zł, kwartalnie — 36 zł.
Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch", Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu: 26762. Zam. 1768. G-11.